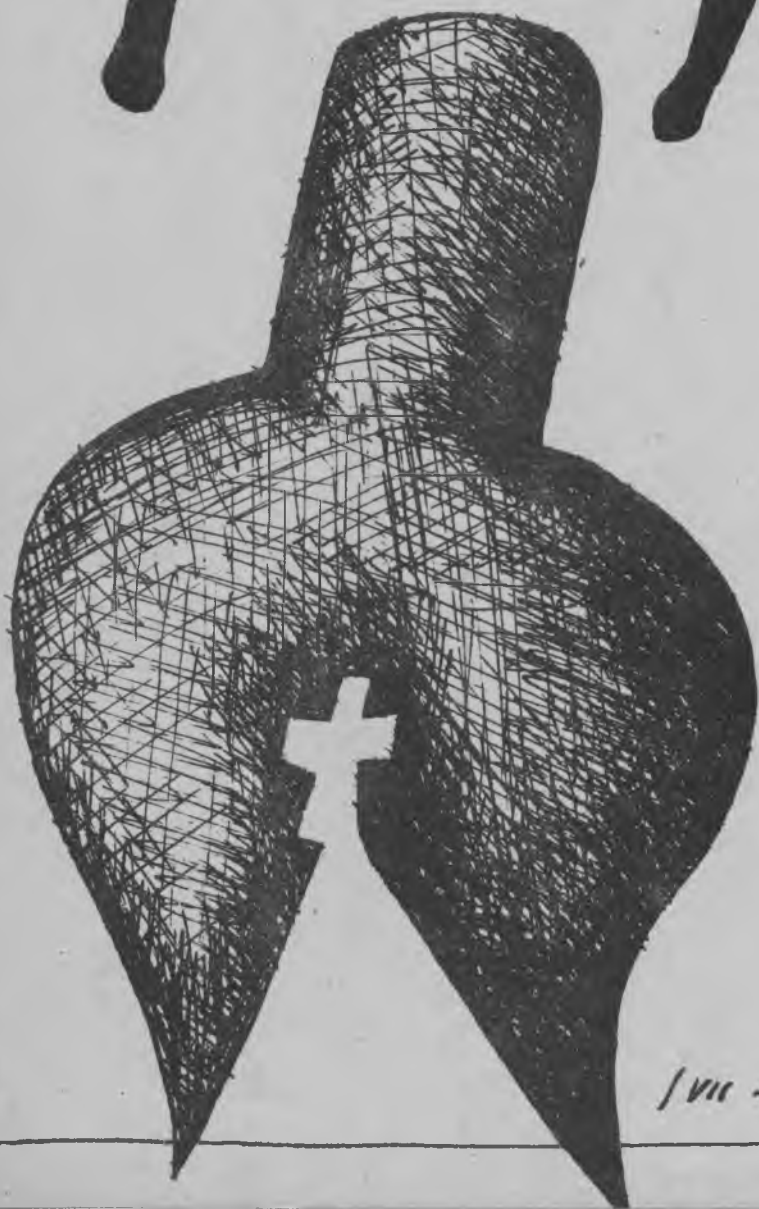


Biuletyn Wojewódzkiego
Doma Kultury

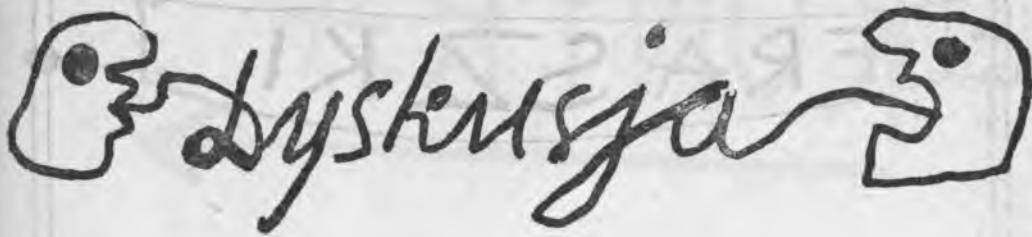
Nr 3/10/86



Dyskusja



VII - IX / 86



BIULETYN

WOJEWÓDZKIEGO DOMU KULTURY w BIAŁYMSTOKU

W N U M E R Z E: str.

Zbigniew Waydyk — Fraszki 2

KONTRA

Tadeusz Gicgier — Moje potyczki nad Białą 3

LITERATURA

Waldemar Smaszcz — Powracający temat 11

Słowo i obraz 14

Wiersze Wiesława Kazaneckiego, Jana Leończuka,

Krystyny Koneckiej Jerzego Plutowicza, Stefana Kamińskiego

Iwona Wąsowicz-Szczepaniak — Rozmowa z Janem Leończukiem . 18

Jan Leończuk — Weselisko 19

Jan Leończuk — Drodzy przyjaciele pisarstwa Sokrata Janowicza . 21

Sokrat Janowicz — Elegia porzuconego gniazda 22

Sokrat Janowicz — Wieczera wigilijna w Grabówce 22

KALEJDOSKOP KULTURALNY

Kazimierz Derkowski — 10 lat minęło 23

Jerzy Krzysztof Kobus — Przyroda słowem malowana 25

Kazimierz Konopka — Świat, człowiek, prawo 29

Zaproszenie do udziału w konkursie 31

Rada programowa

Kazimierz Derkowski, Izabella Półtorak, Jan Szaciłło, Adam Borysiewicz, Przemysław Skarzyński

Wydawca:

Wojewódzki Dom Kultury w Białymstoku

Sekretarz redakcji — Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

Redaktor graficzny — Andrzej Dworakowski

Ilustracje — Andrzej Dworakowski

Redaktor techniczny — Jan Szaciłło

FRA SZKI

Historia ojczysta

Rejestr bojów
I przestojów

Neoanhellizacja

Jeden drugi zakręt historyczny
I staje się naród boski, anhelliczny

Nie wystarczy...

Nie wystarczy wołać: vivat homo!,
By w humanizmie stanąć domu

Doktryny

Kapelusze
Na dusze

Nonsensowi przypisani

Czasu straconego erę
Uparli się mierzyć... stoperem

Zbigniew Waydyk



KONTRA



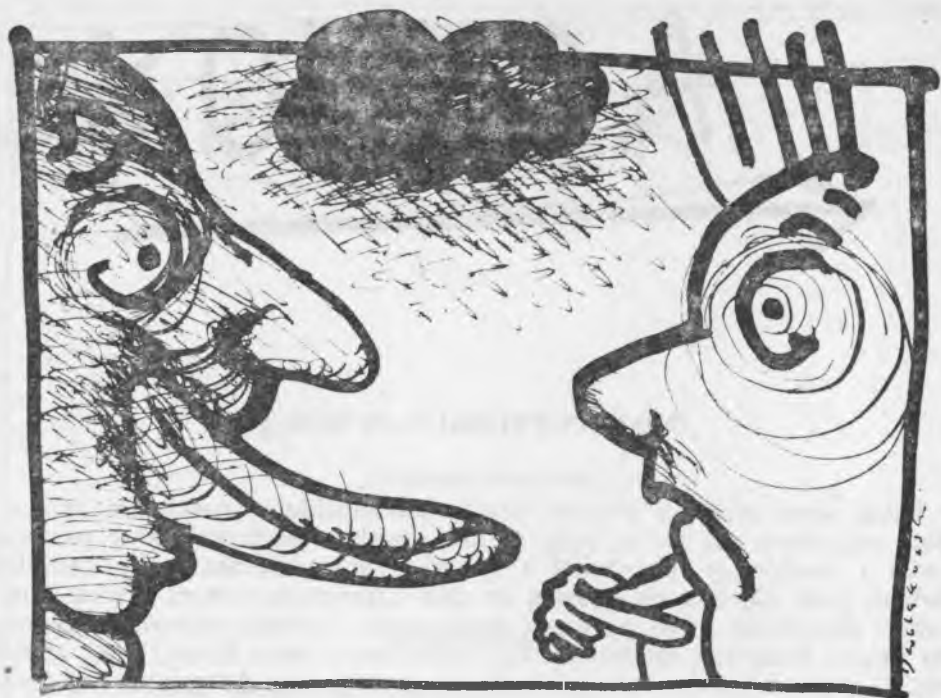
MOJE POTYCZKI NAD BIAŁĄ

Kiedy dziś myślę o swoich latach białostockich, trudno mi znaleźć inne określenie niż to, że były to lata złożone. Zachowałem w pamięci ludzi i krajobrazy, przyjaciół i wrogów (któż ich nie ma?), bardziej jednak tych pierwszych, zresztą do dziś utrzymuję z nimi bliskie kontakty. Stoczyłem kilka potyczek mniejszych i jedną większą, końcową, po której Białystok opuściłem. Czy uciekłem z pola bitwy? Nie, chyba nie. O mym wyjeździe zdecydowało parę przyczyn, do sprawy tej jeszcze powrócę. Czy potykałem się tylko dlatego, że byłem o te kilkanaście lat młodszy? Chyba też nie, podejrzewam, że obecnie zachowałbym się podobnie, choć wiele od tamtego czasu się zmieniło.

Potyczki nad Białą. Wkrótce po przybyciu do Białegostoku miałem się przekonać, że ta niegdyś czysta rzeka jest zaprzeczeniem swej nazwy i przypomina do złudzenia moją rodzimą Łódkę: jest po prostu miejskim ściekiem. A jednak nad tym ściekiem lubiłem się przechadzać, wdychać jego kwaśne odory, kontemplować skojarzenia. Tam ciągnęło mnie bardziej niż na Planty.

Zacząło się wszystko od pracy w Rozgłośni, która w niczym nie przypominała Rozgłośni Łódzkiej, gdzie przepracowałem lat piętnaście. Nieduży budynek przy ulicy Akademickiej był do granic możliwości zagęszczony, warunki pracy bardzo trudne, sprzęt przestarzały i prymitywny, wręcz chałupniczy. Technicy radiowi dokonywali na nim cudów zręczności, wystarczy powiedzieć, że niektóre nasze audycje przyjmowała bardzo dbająca o poziom techniczny Rozgłośnia Centralna. Redakcja, którą zacząłem prowadzić, była tylko z nazwy „Literacka”. Wprawdzie pracowali w niej ludzie uzdolnieni literacko, jak Edward Redliński czy Wiesław Janicki, brakowało jednak określonych tradycji, jakie miały już wówczas tego typu redakcje w innych Rozgłośniach. Wcale nie przesadzę jeśli powiem, że trzeba było zaczynać od podstaw. To znaczy ukierunkować autorów, zgromadzić współpracowników, powołać do życia nowe typy audycji. Na początek uruchomiliśmy „Poranek literacko-muzyczny”, który był mariażem gatunków dotychczasowych i nowych, krótkich nagrań dźwiękowych i małych form literackich. Za sygnał muzyczny „Poranku” wzięliśmy początkowy fragment „Wiosny” Griega (była akurat wiosna) — i sygnał ten rozpoczynał nasze niedzielne programy przez lat sześć.

Mile złego początku. Dość szybko skonstatowałem, że felietony na antenie lokalnej, choć znajdujące może pewien rezonans społeczny i riposty w miejscowej prasie (ale o tym później) — nie mają dostatecznego odzewu, że trzeba sięgnąć jeszcze do któregoś z tygodników kulturalnych, bo w Białymstoku, jak zresztą w każdym innym mieście



provincialnym, bacznie śledzi się, co na tematy miejscowe pisze się w krajowej prasie. Zacząłem więc zamieszczać w „Życiu Literackim” korespondencje z Białegostoku, traktujące o różnych sprawach z tzw. kręgu kultury, często w ujęciu dyskusyjnym, krytycznym. Pisałem o teatrze im. Aleksandra Węgierki („Jeden teatr — trzy sceny”), o freskach z Supraśla i wystawach plastyków współczesnych („Dzieło dawne i dzieła dzisiejsze”), o plenerach malarskich („Zaproszenie do Białowieży”), o białostockim Festiwalu Muzyki i Poezji („Duże i małe inicjatywy”), o działalności Białostockiego Towarzystwa Kultury, do którego notabene zostałem wciągnięty przez niestrudzoną animatorkę życia kulturalnego w Białymstoku, Krystynę Marszałek-Młynczyk („Teatr — BTK — studenci”), o konkursie recytatorskim i Festiwalu Kulturalnym miejscowych Związków Zawodowych („O konkursach i...”), o działalności białostockiego ośrodka Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy („Z seminarium literackiego KKMP w Elku”).

Właśnie. Młodzi pisarze. Przedmiot nieustannych kpin i często niewybrednych napaści w „Gazecie Białostockiej”, skądinąd organie partii. Nie umieli się bronić, byli zgnębieni i zastraszeni (czy tylko oni?), nie podejmowali, a może nie chcieli podejmować polemiki. Taka sytuacja wydała mi się nienaturalna, niezdrowa. Poznałem już wielu młodych poetów i prozaików (chętnie zaczęli współpracować z Radiem), byłem przez nich zapraszany na zebrania KKMP (przydały mi się doświadczenia z Łodzi, gdzie jako członek zarządu tamtejszego Oddziału ZLP opiekowałem się Kołem Młodych). Widziałem wśród nich kilku dobrze zapowiadających się twórców (Zbigniewa Bauera, Janusza Bernera, Jana Czykwina, Tadeusza Antoniego Masłowieckiego, Janusza Niczyporowicza, Bogusława Pezowicza, Zenona Piechocińskiego, Jerzego Plutowicza, Jana Leończuka, Eugeniusza Szulborskiego). Wymienię także niezrzeszonego poetę — samotnika, Mariana Dźwiniela, który przybył z Poznania w ślad za swoją żoną, nauczycielką. Postanowiłem stanąć w ich obronie. Rzecz miała zresztą aspekty szersze. Wiązała

się w ogóle z atmosferą w jakiej przyszło żyć i pracować ludziom pióra w Białymstoku. Opublikowałem w „Kontrastach” felieton „W sprawie klimatu”, w którym pisałem m.in.:

„Dlaczego tak się dzieje, że w Białymstoku istnieje prężne środowisko plastyczne, muzyczne, aktorskie, natomiast literackie jest ciągle „w stanie załazkowym”? Dlaczego młodzi literaci z tak dużym wysiłkiem dochodzą tu do pewnej pozycji i znaczenia, a jeśli któryś z nich do niego dojdzie, najchętniej stąd wyjeżdża? Dlaczego ci, którzy tu przyjadą, z reguły po krótkim pobycie wybierają inne miasto, i to niekoniecznie Warszawę?

...Oczywiście można odpowiedzieć, że prawdziwy talent literacki jest zjawiskiem bardzo rzadkim i nic tu nie pomogą dobre chęci, by takich talentów było więcej. Ze pisarze, a zwłaszcza poeci nigdy nie mieli łatwego życia i nie wychodziło to na złe ich twórczości. Jest jednak i druga prawda: że w niesprzyjających warunkach wiele talentów się zmarnowało, z niewątpliwą szkodą dla kultury danego miasta czy regionu.”

W zakończeniu felietonu konkludowałem, że ważne są oczywiście możliwości druku, ale o wiele istotniejszy jest klimat, który by sprzyjał rozwojowi młodych talentów. A takiego klimatu Białystok dotychczas nie wytworzył.

Uderz w stół a nożyce się odezwą. Wkrótce w „Gazecie Białostockiej” ukazał się taki oto dowcip rysunkowy: mównica, za mównicą mówca, a obok dziewczyna imieniem Maryna. Pod rysunkiem podpis: „W białostockim środowisku literackim trwają ożywione dyskusje”. Poniżej komentarz: „A to jest Maryna, o której będziemy dziś dyskutowali w związku z brakiem jakichkolwiek innych tematów”. Na tym jednak nie koniec. Dziennikarz występujący pod kryptonimem „Kierdziołek”(!) zamieścił felieton, którego końcowy fragment brzmiał „... tam, w województwie, antypoezyje się pisze, drukuje i wszystko gra. Nawet z Warszawy nagrody lecom...”. Redaktor gazety miał za złe stolicy, że przyznaje nagrody twórcom białostockim. Wątpię, czy ktoś zdobyłby się na lepszy dowcip.

Wspomniałem o „Kontrastach”. Nawiązałem z nimi współpracę, choć zdawałem sobie sprawę z tego, że nie jest to pismo na najwyższym poziomie. Ale „Kontrasty” dopiero się kształtowały, poszukiwały, czasem błędziły, spełniały jednak niebagatelną rolę w grupowaniu i umożliwianiu startu uzdolnionej młodzieży literackiej. Sprawą tą zajmowała się zarówno prowadząca pismo redaktor Krystyna Marszałek-Młyńczyk, jak i wytrawny poeta i krytyk Wiesław Kazanecki. Z tymi ludźmi się zaprzyjaźniłem i również dlatego drukowałem w „Kontrastach”.

Razem z „Kontrastami” podejmowaliśmy różne akcje. Wspomnę tylko o jednej z nich: ogólnopolskim konkursie na opowiadanie współczesne. Wydaje mi się, że temu konkursowi potrafiłmy nadać odpowiednią rangę, i to zarówno poprzez jego zasięg, jak i skład jury. Sądowi konkursowemu przewodniczył wybitny znawca literatury, Włodzimierz Maciąg, a jego członkami byli zaproszeni wymiennie pisarze: Zofia Posmysz, Edward Bryll, Waclaw Biliński, Jan Koprowski, Wiesław Jażdżyński. Wśród laureatów znaleźli się m.in.: Józef Ratajczak z Poznania, Wiesław Andrzejewski ze Szczecina, Janusz Koniusz z Zielonej Góry, Edward Kopczyński z Łodzi, Marek Harny z Tarnobrzega, a także cała plejada autorów miejscowych: Ryszard Kraśko, Aleksander Omiljanowicz, Edward Redliński, Wiesław Janicki, Leon Mojsiejuk, Jan Dziuba, Bogusław Pezowicz, Janusz Niczyporowicz i wielu innych, którzy zdobywali dopiero „ostrogę literackie”.

Ow konkurs był również solą w oku dla pewnych naszych antagonistów.

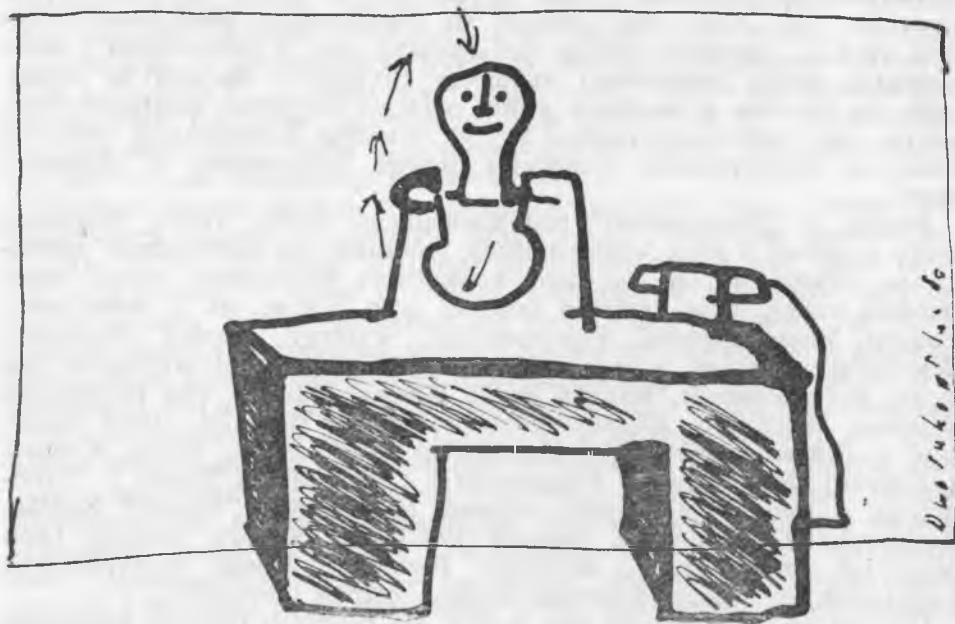
tów. Dochodziły mnie na ten temat różne głosy. Także na inny temat: mojej osoby. Ze też ktoś chciał się mną zajmować. Ale widocznie chciał. Zresztą nie jeden. Nawet się nie dziwiłem: do Białegostoku przybyłem wkrótce po pamiętnych wydarzeniach z początków 1968 r. przybyłem z Polski środkowej, musiało to dawać niektórym ludziom do myślenia. Trudno, żebym wszystkim wyjaśniał, że zaangażował mnie do przeniesienia się z Łodzi ówczesny naczelny Białostockiej Rozgłośni, Zygmunt Brzozowski, a ja przystałem na jego propozycję, wychodząc z założenia, że człowiek piszący nie może całe życie spędzić w jednym miejscu. Nie ukrywam, że podejrzliwe bądź kąśliwe głosy i komentarze mocno mnie irytowały. Z takiego ducha począł się felieton „Zagadka regionalna”, który zamieściło „Życie Literackie”. Oto jego fragment:

„Szczególne to miasto. Najwidoczniej część jego mieszkańców nie jest zbyt wysokiego o sobie mniemania, bo tych, którzy tu przybywają z innych ośrodków miejskich, zwłaszcza centralnych, uważa się za obywateli drugiej kategorii. Jeśli to są fachowcy, panuje przekonanie, że musieli coś spartaczyć w swym fachu, skoro zmienili na niekorzyść miejsce zamieszkania. A według wszelkiego prawdopodobieństwa nie mieli innego wyjścia, jak przystać na taką zmianę. Jednym słowem — ześląnczy.

Wokół tych ludzi krążą najrozmaitsze domysły, sonduje się szczegółowo ich biografie, jeśli zaś żaden szczegół nie wskazuje na to, że dany osobnik coś przeszkrobał — to mu się odpowiednią biografią dorabia”.

Nie sądzę, abym tym felietonem poszerzył w Białymstoku grono swoich przyjaciół. Ale występowałem też z innych pozycji: z pozycji patrioty lokalnego. Dzisiaj uśmiecham się na myśl, jak szybko nim się poczułem. Kiedy w „Życiu Literackim” ukazał się artykuł Tadeusza Robaka traktujący o pismach regionalnych, podjąłem z jego autorem polemikę („W Polsce regionalnej”). Pisałem m.in.:

„Tak się złożyło, że sporo miejsca w swych interesujących rozważaniach autor poświęca białostockim „Kontrastom”. Nie jestem pracownikiem redakcji „Kontrastów” i nie zamierzam ich tutaj bronić. Choć przynajmniej jedno ze sformułowań Tadeusza Robaka jest dla mnie



dyskusyjne, to mianowicie, w którym mówi on z wyraźną dezaprobatą o „wypełnianiu przytłaczającej części łamów przez autorów miejscowych w województwach o najsłabszym rozwoju środowisk twórczych”. Bo jakaż może być inna droga do rozwoju tych środowisk, jeśli nie danie im szansy startu na swoim terenie?. Każdy przecież od takiego „szczebla” zaczyna.

... Nie chcę przypisywać sobie żadnej zasługi, jednakże już przed dwoma laty, na spotkaniu współpracowników „Kontrastów” z miejscowymi władzami, postulowałem konieczność zwiększania publikacji zaangażowanych (we właściwym tego słowa znaczeniu), ingerujących w rozmaite nabrzmiałe i obolałe sprawy terenu, wychodząc z założenia, że artykuł, który niczego nie porusza, nie porusza nikogo.

Muszę przyznać, że od tego czasu sporo się zmieniło, niestety, odwrotnie do tej intencji. U źródeł tego zjawiska leży, najogólniej biorąc, miejscowy stosunek do krytyki. Jest niemal regułą, że krytykowani za takie czy inne zaniedbania, uchybienia, niedociągnięcia odwołują się do władz, wykazując rzekome szkody, jakie wyrządził im piszący, powołując się na swoje osiągnięcia oraz swój wkład w dzieło socjalizmu. Ta demagogiczna postawa spotyka się dostatecznie często z poparciem miejscowych czynników, które, bywa, stają po stronie krytykowanych, nie krytykujących.”

Dalej następowało kilka drastycznych przykładów takich praktyk i jeden wniosek: o demoralizującym, demobilizującym, destrukcyjnym ich oddziaływaniu. Była to z całą pewnością najostrejsza moja wypowiedź na przestrzeni czterech lat (rok 1971) i dotyczyła sprawy tak niewralgicznej, jak polityka kulturalna i stosunek miejscowych władz do białostockich dziennikarzy i literatów. Zastanawiałem się nad tym, jaka będzie reakcja w Białymstoku? Na razie nie było żadnej. Panowała cisza. Jak się miało jednak niedługo okazać, była to przysłowiowa cisza przed burzą.

W tym samym mniej więcej czasie, co mój artykuł „W Polsce regionalnej”, ukazał się reportaż Edwarda Redlińskiego na pokrewny temat. Redliński nie pracował już wtedy w Radiu i związał się z „Kulturą” (warszawską, nie paryską). W reportażu postawił problem różnych wynaturzeń władzy i konstatował, że każda władza otacza się swoimi ludźmi, co innego jednak — jak pisał — jeśli dobiera ich do poziomu pierwszego piętra, a co innego, jeśli do poziomu piwnicy. Nie padła tam nazwa miasta, lecz w Białymstoku odczytano zarzut jednoznacznie. Redaktor naczelny Rozgłośni przeprowadził ze mną rozmowę, w której sugerował, abym zaprzestał publikować na antenie teksty Redlińskiego. Nie posłuchałem tego: Redliński był dla nas przecież wartościowym współpracownikiem. Potem podobną rozmowę miałem na temat Sokrata Janowicza. Wiedziałem jednak, Janowicz został zwolniony z pracy, restrykcje dotknęły także jego żonę, znajomi zaczęli na wszelki wypadek go unikać — czy ja miałem zrobić to samo?

A poza tym byli to koledzy ze Związku Literatów — obowiązywała mnie wobec nich solidarność. Tych związkowców doliczyliśmy się wtedy dziesięciu (po przyjeździe dwóch z Wrocławia). Mimo braku konsolidacji i różnicy poglądów udało nam się jakoś skrzyknąć, po czym wystąpiliśmy z memoriałem do Zarządu Głównego ZLP w sprawie powołania w Białymstoku oddziału Związku Literatów. Wychodziliśmy z założenia, że powinna zniknąć ostatnia biała plama na związkowej mapie. Zarząd Główny podjął na swym posiedzeniu uchwałę o utworzeniu białostockiego oddziału i dysygnował do rozmów z miejscowymi władzami Zbigniewa Załuskiego. Ale Załuski do Białegostoku nie przyjechał. Nie został po prostu zaproszony. Ówczesny pierwszy sekretarz, Zdzisław Kuro-

wski, poczuł się dotknięty tym, że zwróciliśmy się najpierw do Warszawy (choć taki jest tryb postępowania w powyższej kwestii), a nie do niego. Nie wykluczam też, że miejscowe władze wolałyby widzieć nas w rozproszeniu, rozprawić się z nami — w razie potrzeby — w pojedynkę. Stawiały swój doraźny interes, iluzoryczny spokój i bezpieczeństwo nad interesami szerszymi, zbiorowymi, ponad obowiązującą je przecież dbałość o stan i rangę białostockiej kultury.

Najpierw doszło do uderzenia w „Kontrasty”. Wspomniałem o dwóch przybyszach z Wrocławia. Pozyskali oni sobie szybko poparcie władz, a jeden z nich dążył za wszelką cenę do objęcia redakcji „Kontrastów”. Miał licznych kontrahentów w Warszawie, więc co pewien czas przyjeżdżał któryś z nich do Białegostoku i obsmarowywał „Kontrasty”. Że to pismo liche, prowincjonalne, że można by przekształcić je z pożytkiem w organ „reportażu krajowego”. Kiedy czynniki zebrały już teczkę takich publikacji, zaprosiły na rozmowę redaktorkę naczelną „Kontrastów” i zapytały ją, co o tym sądzi? Redaktor Krystyna Marszałek — Młyńczyk, wiedząc dobrze o „kulisach rewii”, ujęła się honorem i złożyła rezygnację ze swego stanowiska.

Zanim jednak do tego doszło, w sukurs wrocławianom przyszła „Gazeta Białostocka”. Ówczesny redaktor naczelny tej „Gazety”, Marek Jurkowicz, opublikował artykuł pt. „Fragment większości”, traktujący o sytuacji kulturalnej Białostoczczyzny, a środowisk twórczych w szczególności. W artykule zakwestionował dorobek twórczy białostockich literatów, podrwiwał sobie zwłaszcza z młodych, którzy rzekomo niczym się nie wykazali, a domagają się utworzenia w Białymstoku wydawnictwa. Wszystko to, rzecz jasna, w kontekście rozprawy z „Kontrastami” i ich praktyką popierania młodych twórców. Zdawałem sobie sprawę z tego, co w trawie piszczy, zaripostowałem więc na łamach tejże „Gazety Białostockiej”. Pisałem m.in.:

„Jak dotąd, nie wyszliśmy poza zakłęty krąg dyskusji, czy warto i czy należy młodych popierać. A gdyby tak przyjrzeć się bliżej, co z nich ci lub owi reprezentują, w jakich warunkach żyją, pracują, tworzą, gdyby tak zadbać o stworzenie im odpowiedniejszych warunków twórczej pracy, gdyby spróbować niektórych na własną rękę wylansować. Nie waham się użyć tego terminu — wiem, jak lansuje się młodych zdolnych twórców w innych województwach, jak robi się wszystko, by mogli rozwinąć swój talent „u siebie”, jak wprowadza się ich na tzw. rynek krajowy. Jak ułatwia im się wejście na ten rynek. Wejście, co nie oznacza: utrzymanie się na nim. Są to dwie różne sprawy. Pierwsza: danie młodym szansy. Druga zależy już wyłącznie od nich, od ich ambicji, stałego rozwijania swego talentu, od ich dalszej pracy nad sobą”.

„Prawa miała określony podtekst. Szło oczywiście o to, czy utrzymać „Kontrasty” w dotychczasowej postaci, czy też je radykalnie zmienić, pozbawiając w ten sposób młodych białostockich poetów i prozaików możliwości druku. Takie posunięcie wydało się nie do przyjęcia, mało tego, uznałem je za szkodliwe. Powiedziałem o tym wprost na antenie, narażając się redaktorowi „Gazety Białostockiej” oraz ówczesnym miejscowym decydom, polechtanym tym, że „Kontrasty” będą pismem krajowym. I to przeważało szalę. Miarka się przebrała.

Wkrótce potem dostałem w Radiu wymówienie z pracy. Poszło niby o drobniak: nie dałem do przesłuchania ani ówczesnemu redaktorowi naczelnemu, Leszkowi Kubickiemu, ani jego zastępcy, Mikołajowi Taratyce, reportażu dźwiękowego wysłanego na konkurs Programu III, do którego zostałem imiennie zaproszony. Czyli niesubordynacja. Določono do tego rzekomą niezgodność uprawianej przeze mnie polityki redakcyjnej z założeniami programowymi Rozgłośni. Zarzut bezpodstawny, ale znacznie poważniejszy. No, nie powiem, żeby nie zaferowano mi innego

miejsca pracy: zatrudnienie w którejś z bibliotek. Propozycję tę otrzymał radiowiec z ponad dwudziestoletnim stażem, wyróżniony niedawno — co za ironia — listem gratulacyjnym Prezesa i honorową odznaką Komitetu d/s Radia i Telewizji, przyznawaną za szczególne zasługi. Moim antagonistom szło oczywiście o to, by zweeksłować mnie na boczny tor, unieszkodliwić. Ale żeby zrobić to „humanitarnie”, nie pozbawić mnie środków do życia.

— To przeniesienie do biblioteki proponujemy w porozumieniu z władzami — oświadczył Janusz Kubicki.

Wszystko było już jasne.

— A nagród i odznaczeń nikt nie zamierza panu odbierać — dodał Mikołaj Taratyka.

Redaktor naczelny „Gazety Białostockiej” nie odezwał się już w swoim organie. Wyręczył go Stefan Maciejewski, który w artykule „U-ha! Krew gra! Po-le-mi-ka” nawiązywał do moich wystąpień na antenie i doradzał mi pozostanie w okopach św. Trójcy (!). Bo on, Maciejewski, był rzecznikiem postępu, a ja wstecznicztwa i zacofania.

I tym razem nie wytrzymałem. Podjąłem jeszcze raz (równie uszczypliwą, nie przeczę) po-le-mi-kę. Ale był to już mój ostatni głos w dyskusji, ostatni akord końcowej batalii, jaką rozegrałem w Białymstoku. Bo zaczęła mnie nawiedzać samokrytyczna myśl, że może raz i drugi miałem słuszość, ale nie ustrzegłem się błędów i potknięć wynikających z niedostatecznej znajomości realiów białostockiego życia.

Zwróciłem się do wiceprezesa Radiokomitetu, Jana Mietkowskiego, o umożliwienie mi powrotu do Łodzi. Ale Łódź nie miała wolnego etatu. Trwało to wszystko ponad pół roku. Jak wtedy się czułem, nie będę opisywał. W końcu wiceprezes — po rozpatrzeniu całej sprawy — zabrał mój etat Rozgłośni Białostockiej i przydzielił go Rozgłośni Łódzkiej. Ten fakt nie wymaga komentarza. Tak więc po siedmiu latach wracałem do Łodzi.



Dlaczego opuściłem Białystok? Czy wpłynęły na to opisane wyżej perturbacje? Po części, ale nie wyłącznie. Mogłem przecież poszukać jakiejś sensownej pracy, ataki przeczekać. Z niejednym tak bywało. Ale byłem już dostatecznie dojrzały, nie mogłem nie rozważać sprawy dla mnie najważniejszej: mojego pisania. A od pewnego czasu zaczęły mnie nACHodzić niepokoje, czy takie długotrwałe odcięcie od korzeni nie odbije się niekorzystnie na mojej twórczości. Czułem się przez te wszystkie lata przybyszem, nazbyt głęboko w tę ziemię nie wrosłem. Niewielka to dla Białegostoku strata. Rzecz jednak miała się inaczej, kiedy Białystok zaczęli opuszczać krajanie, pisarze tu urodzeni. Były to zapewne decyzje o wiele bardziej dramatyczne, ze szkodą nie tylko dla zainteresowanych.



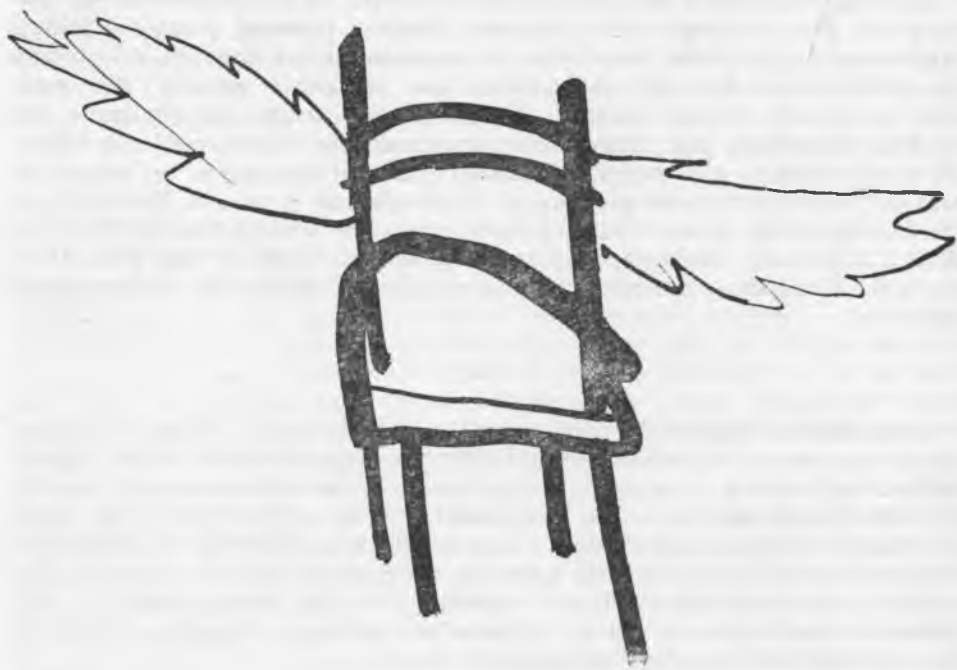
Odwiedziłem Białystok równo po dziesięciu latach, w roku 1984. Zostałem zaproszony na seminarium literackie, przygotowane przez organizację młodzieżową w związku z dwudziestolecie białostockiego ośrodka KKMP. Spotkałem tu wielu przyjaciół i znajomych, wśród nich kilku młodszych kolegów, którzy zdążyli utrwalić swoją pozycję w literaturze. Pojawili się też zdolni młodzi krytycy, których dawniej brakowało. Cieszyłem się z tego. Zmartwił mnie jednak fakt, że działają dalej w rozproszeniu, że ciągle nie ma w Białymstoku oddziału Związku Literatów, że nawet KKMP istnieje tylko na papierze.

Dwoje młodych dziennikarzy z „Gazety Współczesnej” napisało artykuł zatytułowany „Jubileusz bez jubilatą” (posłużyłem się tym określeniem w czasie dyskusji). Młodzi dziennikarze, nie pozbawieni z pewnością dobrej woli, powtórzyli szereg tez na temat miejscowego środowiska literackiego, z którymi występowałem przed laty. Wysoko ocenili też tamten okres pracy redakcji literackiej Radia i „Kontrastów”. Poczulem się tym podbudowany. Zarazem jednak pomyślałem: „Więcej dociekliwości i odwagi, młodzi koledzy! Szkoda, że nie zadaliście sobie trudu, aby głębiej wniknąć w okoliczności zastoju i dezintegracji. Napisaliście tylko enigmatycznie: „Przyczyn tego, że białostockie środowisko literackie nigdy nie mogło okrzepnąć, było przynajmniej kilka.”

Tak więc sprawa pozostaje ciągle otwarta.

Tadeusz Gicgier

II nagroda w konkursie „Moja przygoda z kulturą”



LITERATURA

POWRACAJĄCY TEMAT

Spośród garści pisarzy współcześnie tworzących w Białymstoku nikt nie debiutował przed wojną, niemal wszyscy zaś już po roku 1956. Trudno więc mówić o jakiegokolwiek bliższej tradycji regionalnej, do której mogliby nawiązywać młodzi debiutanci i kształtować swoją świadomość dziedzictwa. Bo dalsza tradycja istnieje i nie jest bynajmniej pośledniej miary. Cóż z tego, skoro została zupełnie zapomniana i nikt bodaj nie potrafi już dzisiaj jej odczytać. Oto niedawno ukazał się wybór poezji Albina Dziekońskiego, autora wielu tomów poetyckich z lat 1920—1939, urodzonego w rodzinnym majątku Dziekońskich Piotrowicze w województwie białostockim. Ten zapomniany poeta pochodził ze znanego rodu ziemiańskiego trwale zapisanego w dziejach ziemi białostockiej od co najmniej XVIII wieku. Jeden z jego przodków, doktor filozofii Bartłomiej Dziekoński, był profesorem szkół białostockich w latach 1766—1801, zyskał niemałą sławę dzięki swoim wysoko cenionym podręcznikom rolnictwa (dodajmy w tym miejscu, że wśród profesorów ówczesnego szkolnictwa białostockiego było wiele wybitnych postaci zasługujących na pamięć potomnych czy choćby galerię portretów w najstarszym gimnazjum naszego miasta). Niestety, nawet ta publikacja obszernego zbioru poetyckiej spuścizny Albina Dziekońskiego w renomowanej oficynie Państwowego Instytutu Wydawniczego z obszernym trzydziestostronicowym wstępem gruntownie omawiającym biografię twórczą autora „Zielonych Mogiłowców”, nie spotkała się z najmniejszym choćby rezonansem w Białymstoku. A jest to poeta, który już wcześniej zwrócił na siebie uwagę takich luminarzy naszej nauki o literaturze jak profesorowie Julian Krzyżanowski i Kazimierz Wyka. Ten ostatni wymieniał nawet Dziekońskiego wśród poetyckich antenatów Mirona Białoszewskiego(!) omawiając rewelacyjny debiut autora „Obrotów rzeczy”. W „Rzeczy wyobraźni”, najwybitniejszej bez wątpienia książce dotyczącej naszej współczesnej poezji, tak pisał znakomity badacz literatury próbując wskazać na jakąś „analogię personalną” Białoszewskiego: „... przede wszystkim absolutnie zapomniany, w ogóle nie kwitowany przez ówczesną (tj. międzywojenną — W.S.) krytykę, a całkowicie godzien umieszczenia na właściwym miejscu przysługującej, mu oryginalności Albin Dziekoński”.

Mozna powiedzieć, że przykład Dziekońskiego jest odosobniony, każdy jednak, kto chociaż trochę interesuje się życiem kulturalnym w Białymstoku wie, że obojętność wobec dokonań literackich jest tu raczej regułą niż wyjątkiem. Wydaje mi się, że tym razem zaważył w dużej mierze brak jakiegokolwiek instytucji życia literackiego w ponad ćwierćmilionowym już mieście. Nie ma Białostok czasopisma społeczno-kulturalnego zainteresowanego sprawami literatury, „Kontrasty” z uporem godnym lepszej sprawy trwają przy formule niechętniej — delikatnie mówiąc —

jakimkolwiek poczynaniom literackim, chociaż twórca tej formuły redaguje już dzisiaj pismo nie tylko literackie, ale regularnie drukujące poezje nawet na pierwszej stronie tygodnika. Prasa codzienna nie jest w stanie przejąć na siebie tych zadań. Nie ma też białostockiej nagrody literackiej. Jest co prawda nareszcie miejscowe wydawnictwo, Białostocki Oddział KAW, ale opublikowało ono dopiero pierwsze książki autorów tworzących w Białymstoku.

Dlatego też zastanawiający wręcz wydaje się upór garstki pisarzy, którzy od dziesięcioleci tworzą w naszym mieście, publikując w różnych oficynach zbiory wierszy, tomy prozy czy ciągle „modnych” reportaży. Kilku z nich zamknęło już nawet swoją twórczość w „okrągłych” dziełach dziesięcioleciach, jak Aleksander Omilianowicz, Wiesław Kazanecki, Sokrat Janowicz czy zmarły przed kilku laty Ryszard Kraśko. Inni powiększają ten dorobek ziemi która ich wydała, bądź z którą związali się na stałe, kolejnymi tomami. Niestety, z reguły nie mogą one liczyć na jakiś szerszy rezonans w rodzimym środowisku, nawet jeśli spotykają się z wysoką oceną w ogólnopolskiej prasie literackiej.

Można powiedzieć, że jest to zgłaszanie uwag w imieniu twórców odrzuconych, których twórczość nie zainteresowała autorów syntetycznych podsumowań współczesnych dokonań literackich. Proszę więc mi wskazać jakieś pogłębione omówienia dorobku białostoczian, którzy zrobili autentyczną karierę na skalę krajową czy nawet światową, jak Edward Redliński czy Jerzy Małysiuk, powstałe i opublikowane w Białymstoku. Ponadto promocja twórczości, która na nią zasługuje nie przynosi ujm ani instytucjom podejmującym stosowne zabiegi, ani samemu podmiotowi tych zabiegów.



Moje zainteresowania krytyczne związane są przede wszystkim z twórczością poetycką, stąd też poświęcę trochę miejsca głównie białostockiej poezji. Doliczyłem się w sumie ponad czterdziestu książek bądź arkuszy poetyckich opublikowanych przez różne oficyny oraz instytucje i stowarzyszenia kulturalne kilkunastu autorów. Lektura tych zbiorów okazała się pozytywnym zaskoczeniem. Obraz poezji, jaki się z niej wyłania w żadnej mierze nie można uznać za ubogi. Przeciwnie, cechuje ją duża różnorodność zarówno jeśli idzie o preferowane przez autorów poetyki, środki wyrazu artystycznego, jak i tematykę. Upředzając niejako rzecz całą, można powiedzieć, że najlepsze osiągnięcia naszych poetów stanowią istotny wkład w literaturę polską.

Nie wiem ilu czytelników pamięta jeszcze dzisiaj owe pierwsze zbiorki poetyckie naszych autorów, jak choćby „Sięganie po owoc” Antoniego Tadeusza Masłowieckiego (1962) czy „Zbliżenia” Zbigniewa Ślączi (1963). Celowo wybrałem autorów, którzy później niemal zupełnie zaprzestali publikacji poetyckich. Masłowiecki opublikował swój drugi tom wierszy (i na razie ostatni) w roku 1973, a Zbigniew Ślącza dopiero na krótko przed śmiercią przypomniał się jako poeta dwoma arkuszami wydanymi przez Wojewódzki Dom Kultury. Jan Dziuba z kolei debiutował na łamach prasy w roku 1956, jego pierwsza książka ukazała się w 1966 roku i — co tu ukrywać była dość spóźniona, by mogła liczyć na żywszy rezonans. Dopiero ostatnio autor zaktywizował się na nowo, o czym świadczy tegoroczna nagroda uzyskana w renomowanym konkursie Łódzkiej Wiosny Poetów.

Z poetów debiutujących w latach sześćdziesiątych jedynie Wiesław Kazanecki publikuje regularnie kolejne zbiory wierszy, a rok 1983 przyniósł wybór poezji tego autora; dodajmy, że jak dotąd jest to j e d y n y wybór twórczości białostockiego poety. Należałoby podjąć próbę rozpoznania przyczyn, które wpływają na rzadkość publikacji książkowych pisarzy z naszego regionu. Bo tendencja ta utrzymuje się w dalszym ciągu, by wspomnieć choćby o Jerzym Plutowiczu czy Janie Leończuku, który po dwu tomach wydanych w odstępie zalew:ie roku — „Zalnik” (1979) i „Duszna noc” (1980) — nie opublikował nowego zbioru wierszy, jeśli nie liczyć arkuszy poetyckich.

Brak bieżącej krytyki literackiej śledzącej z uwagą dokonania twórcze miejscowego środowiska literackiego a także — gdyby taka istniała — brak możliwości systematycznego publikowania prac krytycznych sprawia, że nawet ważne problemy i wydarzenia nie są odnotowywane, nie mówiąc o jakiejś szerszej dyskusji. Oto ukazał się wspomniany już obszerny wybór Kazaneckiego „Śmierć uśmiechu Giocordy”, w dodatku zamykający pierwsze dwudziestolecie twórczości literackiej autora — ślad tego bardziej niż skromny: jedno omówienie w „Kurierze” i dyskusja na seminarium literackim zorganizowanym przez BO KKMP. W Łódce zaczęły pojawiać się w czasopismach nowe wiersze Kazaneckiego świadczące — jak sądzę — o znaczącym przewartościowaniu, jakiego dokonał autor i wyznaczające zupełnie nowe horyzonty jego poezji, kto (znowu!) na jakich łamach podejmie ten problem.

W gorącym roku 1980 pojawił się niesłychanie interesujący, chociaż późny debiut Stefana Kamińskiego — „Elsynor”, wkrótce potem drugi tom tego autora — „W zapisie nocy” (1982) z kilkoma wierszami, które trudno czytać bez wzruszenia, świadcząc, że autor potrafi powiedzieć coś istotnego o naszych czasach. Potem Kamiński złożył w wydawnictwie gorączkowy, miejscami gwałtowny w reakcjach tom o Polsce stanu wojennego (taką „poetycką gazetę” — jak mówi autor). Niestety zbiór do dziś nie ukazał się, wiersze mogłyby wcześniej ukazać się w prasie literackiej, gdyby taka w Białymstoku istniała.

można mówić o poecie tkwiącym korzeniami w rodzinnej ziemi, to z całą pewnością jest nim Leończuk. Nie mamy jego nowych tomów, trudno tu wnikać w przyczyny, ale — po raz kolejny wraca sprawa czasopisma — moglibyśmy przecież znać jego nowe wiersze utrwalone w druku, a nie tylko czytane podczas spotkań autorskich. Jeszcze gorzej przedstawia się sytuacja, jeśli idzie o twórczość Jerzego Plutowicza, który — o ile wiem — „nie przepada” za spotkaniami autorskimi, a ile na tym tracimy my, czytelnicy, wiedzą ci, którym udało się dotrzeć do pięknych, często nieskazitelnie klasycznych jego wierszy. Prawie nie zauważony przeszedł obszerny wybór wierszy Jana Czykwina (tłumaczonych na język polski) wydany w renomowanej serii „Czytelnika”.

Mamy w Białymstoku kilka bardzo interesujących poetek, autorek pojedynczych zbiorów zasługujących na uwagę. Ostatnio prawdziwą furorę wśród odbiorców zrobiły erotyki Krystyny Koneckiej, poetki, która jak mało kto dzisiaj opanowała tajemnicę ożywienia formy sonetowej. Bardzo dobrze przyjmowane są na nielicznych spotkaniach wiersze tak różnych autorek jak Anna Markowa i Elżbieta Kozłowska-Świątkowska, acz ich także nie możemy ciągle jeszcze czytać, chyba że zadamy sobie trud przepisania do własnego albumu poezji; tylko kto posiada takie księgi.

Nie kończę tego krótkiego szkicu żadnymi wnioskami, by nie powtarzać się. Brak mi też wiary, by w najbliższym (i nie tylko najbliższym) czasie mogło się cokolwiek tu zmienić.

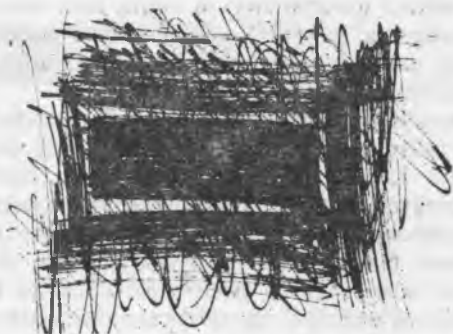
Waldemar Smaszcz

z kromki i owoce

PLYTY Z KAMIENIA

Płyty z kamienia wśród chwastów i deszczu,
mchem otulone samotne nazwiska —
a ludzie kwiaty przynoszą.
Mogil otwarte oczy, żółtkłe liście
i wiatr szeleści w zaułkach śmietnika —
a zmierzch wciąż modli się rosą.
Niektórzy mówią, że tu już nic nie ma,
że tu już tylko rozkopana ziemia —
i nikt już stąd nie zawoła.
Lecz kwiaty mówią, a mówią tak cicho,
jakby umarłym na ucho szeptały —
że krew tu — — —

Wiesław Kazanecki



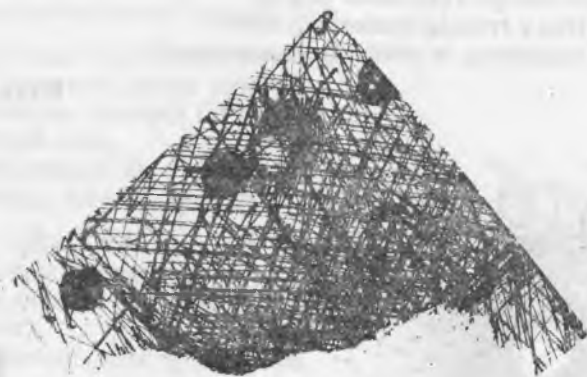
TWARZĄ W TWARZ

Kiedyż cię spałał taki sen,
że powróż w każdą noc cię śni,
a z pejczem stoi tuż za progiem
ten człowiek od zamkniętych drzwi?
Bo nazbyt mocno się zacisnął
przy twoich skroniach pięści węzeł
i nazbyt mocno orzą skórę
paznokcie — groty ze ścierniska.
Bo nazbyt ci się zatrzasnęły
po obu stronach spojrzeń stromych
i nazbyt ci się zawiktały
w głębi twych powiek harde sny.
Bo skąd te chłodne kraty w oczach
i zamiast źrenic — judasz w drzwiach?

Wiesław Kazanecki



Wróć Panie do mnie w kalekim wierszu
ciemnym drganiem wieczery tańca
przed świtem nagłym w przerażeniu sennym
zatrzymaj serce moje gdy kur mnie rozśpiewał.
Odwróć wołanie w szepcie krwi spragnionym
wycisz gwiazdziste głodem we mnie niebo
oddal zakręty ciała progiem drzwi ciemnych
wyklutych okiem wymarłych nadziei
Ocal skomlenie we mnie bólu tej wiary prostej
sny ocal we mnie Abła przerażenie
niech wierszem przejdą oddalone cienie
i czas poderżnię gardło w modlitwę milczenia



w wystygłych bramach czekałeś na miłość
mówiłeś — dotknij skórę a młodość poznasz
za ścianą umierał John Lennon charcząc płytą
mdlał śpiew w lepkich uściskach
Wojtek D. płakał wspominając własne serce
za betonową ścianą Yoko Ono
kłamala pożądaniem Krysi J.
w telewizorze jak w dzień sądu ostatecznego
policzono umarłych i rannych
świat na trybunach nadal żądał krwi
ustawieni w szyku żołnierze śpiewali pieśni
i wtedy powtarzałeś umarłemu poecie — po co wszedłeś
w ten dom kiedy uczucia moje w zaciśniętej pięści
a w kalendarzu coraz większa pustka
ksiądz X. zbłądził zawierając
i ty żeś zbłądził
świat w nieustannej loterii
zapomnianej litanii wyplutych
powtarzałem wtedy — Boże niechaj bramy
przygarną jego ciało i nakarmią szalonym światem
nad zamordowanym tej nocy sercem
niechaj nikt nie przystaje
kiedy młodość potyka się w kalendarzu
wtedy puste dłonie zebrają

Jan Leończuk

Sonet III

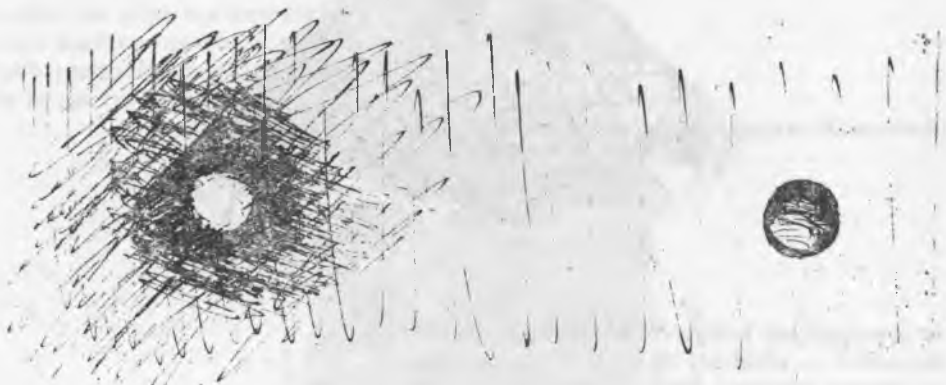
By baśniom było zadość na spóźnionej scenie
w smugę światła na wodzie fale nas wyniosły
i stanął czas. A cisza zielonym ramieniem
ogarnęła Muliczne, rybitwy i wiosła.

W gęstym atolu trzciny trwaliśmy w milczeniu
przez kryształ fal zamczysko legendą obrosłe
tutaj jeszcze pozostał kamień na kamieniu
i nurt gorących czasów do dzisiaj nie ostygł.

Wykluczaliśmy prawdę. Cóż po niej za trzcina
gdzie stroma ściana spada na głębię bezdenną
tu cień rybitwy zginie nim otchłań pokona.

Stąd do każdego brzegu tyle samo płynąć
tam wciąż na straży trwają wodorosty senne
kołyszac świat niepewny w omdlonych ramionach.

Krystyna Konecka



Sonet XIII

Cóż z tej pozy, że mogę czoła stawić światu?
Spadająca ku brzegom Necka skarpa stroma
była świadkiem mej kłęski wczorajszego lata
gdy niemalże zostałam łupem fal takomych.

A może trzeba było? Cóż za wielka strata
nie dojrzeć od rewersu ogrodów zielonych
gdzie pod soczewką wody ryby w srebrnych szatach
omiijają rozważnie sieci nieruchome.

Z innej optyki widzę łodzie warujące
tu brzeg poniżej Borek sitowiem zarasta
i fala lekko idzie mewom na spotkanie.

Nie było dla mnie miejsca w odmętach iskrzących.
Widocznie nie u brzegów królewskiego miasta
dopłynę — drobna płotka — do mojej przystani.

Krystyna Konecka

WYSPA WODNIKA

*W tamtych czasach wszystko miało sens.
Kropla wina parząca jak kropla krwi.
Lipowa kotłowska obok wiosła łodzi,
która lalce opowiada dzieje księstwa Akwitanii,
Zegar, który przyświecał dorosłym,
wychodzącym wprost w rozgwieżdżone niebo.*

*Pory roku odgadywaliśmy po kilku szczegółach:
deski podłogi wyszorowane jak zaspą śniegu,
kropla atramentu eksplodująca jak słońce,
kartka papieru z tekstem pierwszego, najważniejszego wiersza,
włos na poduszce — wszystko, co zostało z miłości.*

*Ta kobieta mogła być dziewczynką,
która lalce opowiada dzieje księstwa Akwitanii,
i, rozbawiona raczej niż przeleżała,
wyplątuje z warkocza nic babiego lata.*

*Ten chłopiec mógł być starym łgarzem,
który przed progiem zzuwa dziurawe buty,
i pragnie przespać dziesięć lat tylko,
dziesięć szarych zim.
Dziesięć słonecznych wysp.
Dziesięć drzazg, dziesięć przekleństw.*

*tego świata już nie ma.
Dom, rzeki rtęć, rogu granie.
Obłok kurzu łaszący się do stóp.
Ten świat jest.
Jak ćma kamieniejesz w jego cieniu,*

URODZINY

*Półksiężyc wody, szklany prąd.
Nad mleczną łąką czarny most.
Złe oko zamknij, zgaś, człowieku.
Tor kolejowy w głąb prawieku.
Dom karmi wrony: ogród, oset.
Dla ciebie skarb podziemny niosę.
Dla ciebie dyszę, więdnę, skrzypię.
Chłopiec, co biegnie wzdłuż nasypu.
W dłoni chłopca gwiazda i list
Młody poeta, stary list.*

Jerzy Plutowicz

TYNK

*... te prasowe dyskusje o PATRIOTYZMIE,
ano stało się to, co polskie jest i nie odstanie.
Polska to mój dom i zlewozmywak nieszczelny,
i kropla wody w kranie.
To plama tynku, który przy nieostrożnym zmywaniu
odpadł ze ściany, odsłonił cegły.
Wpatrz się w nie a zobaczysz:
siebie, czas nierychliwy i Polskę.*

Stefan Kamiński

Rozmowa z JANEM LEONCZUKIEM

autorem:

Rachunku (B-stok, 1973); *Zalnika* (Olsztyn, Pojezierze, 1978); *W drodze do Damaszku* (Łubniki 1980 — nakład autora); *Snu odartego* (B-stok, 1980); *Dusznej nocy* (Wrocław, Ossolineum, 1981); *Białej sukienki* (B-stok, WDK 1986); *Za horyzontem* (B-stok, KAW, 1986).

tłumaczeń z białoruskiego:

We śnie w bólu słowa — Nadziejia Artymowicz (B-stok, 1979), *Światło noc* — Michał Szachowicz (B-stok, 1980); *Na początku było tylko słowo* — Jerzy Geniusz (B-stok, 1981);

z arabskiego:

Rozbite wiersze — Hatif al-Dżanabi.

Iwona Wąsowicz:

Wiesz, kiedy postanowiłam pojechać do Ciebie, aby porozmawiać z Tobą (a mimo, że znam Cię już wiele lat, nigdy u Ciebie nie byłam), każdy, komu o tym powiedziałam tłumaczył mi jak dojechać do poety, prozaika, tłumacza, wykładowcy Filii UW w Białymstoku, a jednocześnie sołtysa wsi Łubniki. Wynika z tego, że zna Ciebie i bywa u Ciebie pół Białegostoku. Czy lubisz ludzi i czego od nich oczekujesz?

Jan Leonczuk:

Lubię, a oczekuję przede wszystkim życzliwości, odrobiny zainteresowania i zrozumienia. Widzisz, bardzo często znajomi z miasta traktują to moje życie na wsi jako „bycie na daczach”. Ty zachwycasz się scenerią wiejską, sadem i ogrodem, a ja myślę o tym (właśnie w tej chwili przeprowadzam remont), że nie mam centralnego ogrzewania, łazienki, wc. Że muszę od świtu do wieczora pracować, aby zapewnić byt moim bliskim, że nie mam czasu na coś, co jest dla mnie najważniejsze — moją twórczość!

I. W.

Kiedy patrzy się na Ciebie i widzi Twoją wesołą, pogodną twarz, olbrzymią postać, dobroduszość i szczerłość w stosunkach z ludźmi, trudno pogodzić to z Twoją poezją, pełną — chociaż nie wiem, czy o twórczość — tak mówić można — patologii, cierpienia, rozdarcia, lęków egzystencjalnych. Czym dla Ciebie jest tworzenie?

J. L.

Pisanie pełni dla mnie funkcję terepeutyczną — szczególnie poezja. Proza wymaga codziennego, żmudnego wysiłku i czasu, którego mi ciągle brak, natomiast wiersz powstaje wtedy, kiedy stan mojego napięcia emocjonalnego wymaga natychmiastowego rozładowania. Natomiast proza pomaga mi radzić sobie z problemami tożsamości. Tom „Wspominajki”, który jest już na ukończeniu pozwolił mi pozbyć się pewnych stanów psychicznych poprzez wykpicie, wysmianie i ironię. Wyraziłem w nim moje fobie; konflikty ze środowiskiem, w którym żyję i z którym się utożsamiam. Jednocześnie widzę w nim wiele rzeczy, które mnie drażnią. Wiesz zmieniła się w ostatnich latach — chłop przestał być chłopem w sensie tradycyjnym, wyzbył się wartości, które stanowiły o jego tożsamości, współczesną wsią żądzi pogoń za pieniędzmi. „Wspominajki” pisałem już z pewnym dystansem, ale wcześniej napisałem dwie powieści — zbyt szczere, abym kusił się o ich wydanie — „Konfesjonat” i „Alhambra” będącą opisem ciemnej młodości.

I. W.

Czy sądzisz, że wyszedłeś z ciemnej młodości?

J. L.

Z młodości tak, z ciemności — nie sądzę. Ta ciemność wokół mnie się coraz bardziej zagęszcza.

I. W.

Czy Twoja rodzina pomaga Ci w rozproszeniu ciemności?

J. L.

I tak, i nie. Dzieci wprowadziły wiele cennych doznań w moim życiu, ale jednocześnie powiększyły mój chorobliwy brak czasu.

I. W.

O czym marzysz dla swoich synów?

J. L.

Och, to jest raczej życzenie „na odwrót” — aby nie powtórzyli mojego losu czy biografii, aby nie mieli moich doświadczeń życiowych.

Rozmawiała: Iwona Wąsowicz-Szczepaniak

WESELISKO

Bum cyk cyk cyk. Bum cyk cyk cyk. Bum. Szło wesele w parzących się majtkach, w pochylonej niedzieli, na bakier, swojsko. Z panną młodą pokraśniała i ćwikłowała, nie ruszaną jeszcze. Od plotów zawodziło: oj siadaj, siadaj kochanie ty moje..., jakby na lzy albo deszcz jaki. Cichło, i gorąc weselny walił się do izby, na kryształowe weselne, na szklanki i szklaneczki leniuchujące przez długie lata w oszklonych kredensach, żeby sąsiedzi nadziwić się nie mogli. Gitara jęczała jakoś po miejsku, czuła się chyba nietego w chuci jedwabnej, barchanowej od spodu, na wierzch przykrytej żorzetą i szyfonem.

Rajka, od roku już Regina, jak królowa uświęconą unosiła suknie aż majtki polyskiwały bielą niedzielną, przytulone do zadka bo nie często na nim gościły. Szła Rajka-Regina i śpiewała:

— Szamponu nalej miiii... tarara... szamponu nalej miii...

Na niebie pierwsze pluskwy gwiazd cheiwie opite krwią. I niebo wisiało ciężkie nad zapadającym mrokiem.

Thusty bigos z kawałkami słoniny, wystawny, świąteczny oganiał się od much.

Od północy powiało chłodem w zapocone weseliskiem halki. Rajka-Regina oczy pod niebieską powałą przymyka. I pod stanikiem czuje jak gorąca łapa szuflą się wciska, zdławiona weselnymi podrygami. I serce coraz gęściej prycha, coraz młodsze i cwańsze. I ziemia już przyjmuje ich ciepło. I trawy w usłużnym śnie.

A nad Białymstokiem łuna świąteczna. I pewnie karuzele na Młynowej łypią kolorowymi żarówkami. Pachnie oranżadą, miętą i Bóg wie tylko czym jeszcze. I piersi na posapujące trawy wypadają.

Na niebie dyszel od Wielkiego Wozu. — Ty tak po miejsku par ek-selans, tak po męsku — szepcze Rajka-Regina i szyfony zadziera.

A wesele jak za ścianą. I gitara płacziwa w napiętych strunach pod niebo ulatuje. I anioły chichoczą grzechem przytulone i papierowiałe I szminkę Rajka-Regina ściera i już po swojemu: — Nu Kolia, niebo jakoś we mnie puchnie... I mlask łąką się ściele. Panna młoda wypija trzeci kieliszek i na zegarek patrzy. Pana młodego wzdeło wspomnieniami. Trzy razy się spowiadał i trzy razy ją obmacywał. Nie tknął. Prosiła.

Noc już muzykantów-bigbitowców dotknęła chyba jak żelazkiem jakim, bo gorąc jakiś lepki od ich muzyki spłynął. I babom co w oknach wartowały, zębiska wyjrzały w osłupieniu i zdziwieniu.

Rajka-Regina coraz bardziej króluje, dupskiem dołki mości i rechocze. Aż księżyc się zatrząsał i ziemia się przychyliła to wefte, to wefte. I byłaby się kula ziemiska obróciła ale szept Rajki-Reginy powtarzał: — Ja tak nie przywykła...

I znowu po staremu, weselnie w szyfonach i w wodach kolońskich do potu co kłębami unosił się ponad ziemią i naszą wioską.

A dyszel Wielkiego Wozu sterczał.



A my już lepkie od cukierków i korowajów, że bzyczenie nas napadło, choć noc. I płacz panny młodej wyciekał za płot i powstrzymał nas od macanek weselnych i przymiarek. To my w rzekę, a ta po prawdzie, to w rów mulisty, w pijawki tłuste co nam zaraz fleciki oblażyły.

I płacz panny młodej tam nas dopadł, kiedyśmy pijawki tłukli na kamieniu jak zatracenci jakie. I młaskało w sadzie i nad łąką. I łąka posapywała. Weselnie nam było, słodko od cukierków i pełno mościło się w nas od salcesonów z majerankiem. A niebo już płakało panną młodą. I gwiazdki pochlipowały jak družki niemacane.

— Oj nie przerywaj, bo i Wisłocka tumanie zruga i nerwice — sa-pała Rajka-Regina. I do nich dopłynął płacz panny młodej. Pomarkotniał Kolka i usnął zaraz z trawą w zębach.

Wesele się rozplýwało. Wóz już z nieba zjechał z dyszłem sterczącym. Za stodołę Winckowej.

I pierwsze siano pachniało.

I panna młoda jechała na wozie z prydanami.

I niebo bladło skacowane.

I krowy ryczały.

Jan Leończuk

DRODZY PRZYJACIELE PISARSTWA SOKRATA JANOWICZA!

Wyoczcycie mi Szanowni Państwo, że nie stanie się zadość przyjememu już zwyczajowi prezentowania autorskiej sylwetki pisarza z wszelakiego autoramentu krytycznymi dywagacjami i szufladkowaniem. Na tego typu zabiegi patrzę niechętnie i nie roszczę sobie pretensji demiurgicznych, nawet w obrębie literatury. Staję przed Państwem jako wierny czytelnik utworów literackich Sokrata i jako ten, który wiele zawdzięcza Sokratowej pomocy. Był również i czas, kiedy nie mogłem pojąć „Janowiczowego wędrowania” a nasze drogi coraz bardziej się oddalały. Zawsze jednak, nawet w oddaleniu, z podziwem odbierałem żywotność twórczą pisarza i jego wchodzenie na wyżyny pisarskie, nie powstrzymane nieprzychylnością otoczenia i czasu. Janowicz pozostaje jako pisarz sobą, wierny swoim korzeniom, ukołyszany bogatą historią i kulturą Polski i Białorusi a zarazem pełen niepokoju o jej kształt przyszły.

Zatrzymajmy się przy prozie Sokrata Janowicza a właściwie poezji. Nie jest przesadą nazywanie Janowicza poetą, kiedy ma się w pamięci jego wspaniałe zbiory prozy poetyckiej (Zahony, Wielkie miasto Białystok, Zapomnieliska, Małe dni, Trzecia pora czy Miniatury wydane przez Anglobiałoruskie Towarzystwo w Londynie w 1984 roku).

Janowicz w miniaturach potrafił osiągnąć pułap, który dla wielu pisarzy jest szczytem wielkości warsztatu literackiego, a osiągnął owe wyżyny dzięki pokorze twórczej. Pokora twórcy, nie zamącona pychą odczytywania świata, czyni pisarstwo Janowicza wrażliwe i na „płacz matki przez sen, na piecu”, i „na ciche umieranie”, i na radość życia. Simone Weil pisała: „Nie nastawiać się na zrozumienie rzeczy nowych, ale cierpliwością, wysiłkiem i metodą starać się całym sobą zrozumieć prawdy oczywiste”. Janowicz draży tematy, które dla przygodnych i jakże naiwnych cmokierów sprawiają wrażenie wyeksploatowanych, powielanych, wtórnych. I odkrywa zapomniane już wzruszenia, krajobrazy, prawa natury, wydobywając je ze śmietnika cywilizacji, narodził kulturowych wyobcowań. Wielce to humanistyczne przesłanie pisarskie.

„Wierzę w miłość źródłano czystą i w rozum jak niebo bezdenny, i w godność topolobłękitną — na obraz i podobieństwo Chrystusa wysnionego przez niewolników zazdroszczących tym, którzy umieli umierać. I — w smutek, pole jesienne, i w radość, kwiat uroczysty, dostępny łzom rozpaczki albo zachwyty. I — w spokój, gwiazdę spadającą, i w ziemię, nieznane głębie, dające nieskończoność przemijania albo nieśmiertelność. I — w gniew, uparte powroty, i w milczenie, kobietę zhańbioną, targającą żywym sumieniem albo wyobraźnią. Wierzę w życie, jego śmierć i zmartwychwstanie. I w wieczność, bo bezbrzeżna.

I w świat —

Wierzę!”

— — —

(Zapomnieliska)

I jeszcze jedno spostrzeżenie bardzo istotne w odbiorze postawy życiowej i twórczej Sokrata Janowicza — nie będzie chyba przesadą, jeżeli powiem, że tak jak Tadeusz Konwicki, Kazimierz Brandys, Marek Nowakowski i wielu innych pisarzy chorych jest na polskość tak Sokrat raznaczony jest charyzmatem białoruskości. Ten kontekst jest wielce potrzebny aby uświadomić Janowiczowe wędrowanie. Nieważne stają się tu szerokości geograficzne. Ból wyostrza dostrzeganie, ból nie tylko fizyczny. Pisarza nawiedzają obrazy, które dla przypadkowego czytelnika są niczym innym jak chorobą wynikającą z niemożliwości przerwania własnych korzeni.

Przyjrzyjmy się uważniej Janowiczowemu podążaniu, które zahacza o skansen, obumara a przypominający o czymś jak blizna i o skansen betonowych mieszkań „pachnących miejskością i nobilitacją”. W obu skansenach zatracą się najistotniejszy element kulturowy a nade wszystko ludzki. Bohaterowie Janowicza wchodzą w życie z kompleksami,

z kompleksami „inności” również. Zacierają swoje rodowody, zmieniają imiona i nazwiska, czyszczą pamięć zapadając się w wygodnych fotelach przy połyskliwych meblówkankach. Swoje rodowody ujawniają jeno wtedy, kiedy alkohol, zabawa odsłania spod krempliny prawdziwe ciało. I duszę, chorą, zrobaczywiałą od awansów i apanaży.

Przyjrzyjcie się Państwo uważnie bólowi Janowicza.

Jan Leończuk

(Tekst wygłoszony na spotkaniu z Sokratem Janowiczem w cyklu „Portrety literackie” w BWA w Bałymstoku w lutym 1986 r.)

Sokrat Janowicz

ELEGIA PORZUCONEGO GNIAZDA

Chatynki wiejskie — porzucone gniazda, nie słyszą już młodzieńczych głosów. W przerwach starczego kaszlu przyszło ci słuchać chatynko o losie złotym synów co spod twojej strzechy wyszli i u obcych siedzą i o córkach co pański chleb delikatnie żują. Ale oni nie z tych ptaków, co w rodzinne strony wracają. Pogubią się po świecie szerokim, porozlatują się na końce świata na których nikt na nich nie czeka. A im, syto od cudzego chleba na obcej ziemi. Ale bywa i tak, że czują nad sobą skorupę kukułczego jaja. Kuja hałaśliwie pioseneczki swojego niby szczęścią (...), szczęśliwi nad szczęśliwymi.

A wioskę twoją niechaj jama pochłonie razem z jej przeszłością nie-ludzka i pracą bez wytchnienia, z dołą gorzką i nie gasnącymi swarami, ze wszystkimi jej zazdrostkami, prawdami i kłamstwem.

Wnukowie twój, chatynko ty moja pochylona, powtarzają i powtarzać będą: nie daj Boże pod strzechą się narodzić!

tłum. Jan Leończuk

1985

WIECZERZA WIGILIJNA W GRABOWCE

Była to, bodajże pierwsza wigilia w naszej rodzinie podczas której mężczyźni nie dyskutowali o polityce i Bogu. Nawet nikt nie zdobył się na żart. Starzy wydawali się jeszcze starsi, a u dorastających wnuków pojawiły się bródki, rzadkie, flancowate, starannie uczesane (ci właśnie, stylizowani na apostołów, nie potrafili się nawet przeżegnać).

Czuło się nastroj jakiegoś zdziwienia.

Na rozłożystej choince, wstawionej do wiadra z piaskiem, lśniły sztuczne gwiazdki. Od okna wiało po nogach chłodem — wilgocią, od której wzmagął się apetyt; (we flakonie, stojącym za miską z solonymi grzybami, samotnie garbił się goździk, niczym daleka palma w krajobrazie ikony).

Najsolidniejszy z zięciów — dość nieprzyzwoicie rozflirtował się ze średnią szwagierką, której niczego nie trzeba była dwa razy powtarzać: gospodarze wieczery wigilijnej podali na stół wódkę, żytniówkę. Na pokojach hałasowały małe dzieci, nie wiadomo dlaczego zawsze po dwoje, a nam zaś dobrze się piło, mając tę świadomość, że nie przyjechalibyśmy tu własnymi wozami.

Kiedy wreszcie zorientowaliśmy się, że za czterdzieści dwie minuty odjeżdża ostatni, nocny autobus do Białegostoku — rozpoczęło się ubieranie!

Dobrze mi było iść z teściem w cichym mrozie i z chęcią do spokojnej rozmowy...

— Czy u tego, który zabił dwoje ludzi za to, że wkradli się do sadu — niemieckim bagnetem zadłgał, w jesieni, tuż po wojnie — czy taki może mieć jeszcze odrobinę człowieczeństwa, choćby na stare lata? — I teść zaczął mówić o zdziczałym gospodarzu, który wyniósł się ze wsi nad łąki tuż za Turkowym Krzyżem.

Zabrakło nam jednak czasu: do przystanku zbliżał się autobus, noworocznie ziejący światłami, swarliwie burkliwy i zawsze bezmyślny.

Sokrat Janowicz

KALEJDOSKOP KULTURALNY

10 LAT MINĘŁO...

10 czerwca 1976 r. pomiędzy dyrektorem Wojewódzkiego Domu Kultury w Białymstoku Eugeniuszem Szczepaniakiem a dyrektorem Państwowego Zaocznego Studium Oświaty i Kultury Dorosłych w Warszawie mgr Lucjanem Powichrowskim zostało podpisane porozumienie w sprawie utworzenia Międzywojewódzkiego Ośrodka Dydaktycznego w Białymstoku.

Ruszyła machina organizacyjna związana z uruchomieniem ośrodka. Trzeba było adaptować pomieszczenia na potrzeby Studium, co w warunkach skromnej bazy lokalowej WDK wymagało wykwaterowania z budynku przy ul. Kilińskiego 8 lokatora — Klubu Sportowego „Włókniarz”. Nie obyło się bez interwencji władz lokalowych i sąsiedzkich zmagów o lokal. Finał był pomyślny i pomieszczenie „Włókniarza” zaadaptowano na salę wykładową.

Pierwszy nabór kandydatów do Studium został przeprowadzony na kierunek „Organizacja pracy kulturalno-oświatowej”. Chętnych było wielu z kilku województw, przyjęci zostali tylko najlepsi, wyłonieni po rozmowach kwalifikacyjnych. Kolejnym problemem wymagającym rozwiązania była sprawa kadry. Wykładowców pozyskano z Filii Uniwersytetu Warszawskiego, Akademii Medycznej, WDK oraz spośród pracowników naukowych zatrudnionych w różnych instytucjach Białegostoku

Skoro o nich mowa, warto przytoczyć kilka nazwisk ludzi związanych z naszym ośrodkiem. Wśród nich są: dr Czesław Hakke, mgr Lidia Orlikowska, Dominika Krauze-Wójtowicz, Marek Kotkowski, Marian Jarosz, mgr Jerzy Fedorowicz, Henryk Małyszko, Karol Pożarski, mgr Wiesław Dąbrowski, dr Piotr Kalicki, mgr Jerzy Hermanowicz, mgr Anna Winnicka, mgr Tamara Samul, mgr Maria Żeszko, dr Zenon Wrzesiński, mgr Stanisława Krasowska, mgr Jan Szacillo i wielu innych.

W ciągu 10 lat istnienia MOD poszukiwaliśmy najbardziej efektywnych rozwiązań dydaktycznych i programowych. Z naszej inicjatywy powstają zmodernizowane programy na kierunku: teatr lalek oraz film i fotografia. Absolwenci tego ostatniego kierunku uzyskują w roku 1984 na festiwalach krajowych i zagranicznych nagrody i wyróżnienia za filmy 8 i 16 mm, zrealizowane w AKF „Projektor” WDK w Białymstoku.

Słuchaczki teatru lalek miały obowiązek prowadzenia praktycznych zajęć z zespołami lalkowymi. Zaprocentowało to po uzyskaniu dyplomu Studium, bowiem kilka z nich otrzymało nagrodę za spektakle na przeglądach wojewódzkich oraz resortowych. Poza wymienionymi kierunka-



mi realizowane były zajęcia z dziedziny tańca, teatru oraz organizacji kulturalnego wycieczki.

10-lecie zamyka się liczbą blisko 300 absolwentów, którzy uzyskali uprawnienia instruktorskie i dyplomy naszego Studium. Najwięcej spośród nich jest pracowników kultury woj. białostockiego, ale są także z województw: ostrołęckiego, łomżyńskiego, suwalskiego i siedleckiego.

Nasi absolwenci w przeważającej większości pracują w placówkach upowszechniania kultury, chociaż można ich spotkać w teatrach, filharmonii, administracji kultury, instancjach partyjnych, a także na odpowiedzialnych stanowiskach kierowniczych.

Ci ostatni po ukończeniu Studium podjęli naukę na wyższych uczelniach, szczególnie na kierunku pedagogika kulturalno-oświatowa i uzyskali tytuł magisterski.

Od 15 lutego 1982 r. po odejściu Eugeniusza Szczepaniaka przypadło mi w udziale kierowanie MOD w Białymstoku. Godząc dwie funkcje — dyrektora WDK i kierownika ośrodka — czynię usilne starania w kierunku uprzątnienia zajęć dydaktycznych. Prowadząc przedmioty

„Podstawy naukowej organizacji i kierowania” oraz „Metodyka i organizacja działalności kulturalno-rozrywkowej” zlecam swoim słuchaczom opracowywanie i realizację scenariuszy imprez środowiskowych. Między innymi byli oni realizatorami „Świętojańskiego turnieju gmin Brańsk — Bocki”, „Turnieju wsi Ploski — Ryboły”, Dziecięcego Festynu w Sokółce; panoramy twórczości ludowej w Krzakach (woj. łomżyńskie), imprezy rozrywkowej „Wszystko o kobiecie” w Bielsku Podlaskim, wieczoru Andrzejkowego i Balu Karnawałowego w Białymstoku.

Kiedy rozmawiam po imprezach ze słuchaczami dzielą mój pogląd na ściśle wiązanie teorii z praktyką. Doświadczając na własnej skórze wszystkich trudności i przeszkód jakie należy pokonać w praktycznym działaniu słuchacze stają się bardziej odporni na stresy jakie niesie praca w kulturze.

Korzystając z okrągłej daty istnienia Studium pragnę na łamach „Dyskusji” podziękować Eugeniuszowi Szczepaniakowi za fakt powołania ośrodka, wykładowcom za przychylność i pracę ze słuchaczami, absolwentom życzyć satysfakcji z nabytej wiedzy, a mojemu zwierzchnikowi mgr Lucjanowi Powichrowskiemu uzyskania dla Państwowego Zaocznego Studium Kultury i Oświaty Dorosłych statusu wyższej szkoły zawodowej.

Jubileuszowymi wspomnieniami podzielił się

Kazimierz Derkowski

PRZYRODA SŁOWEM MALOWANA

„Człowiek i przyroda” — to hasło przyświecało organizatorom Sceny Propozycji Recytatorskich, Teatralnych i Literackich im. Zbigniewa Słaczki.

Impreza ta — mająca już wieloletnie tradycje na Białostocczyźnie — po raz drugi — po kilkuletniej przerwie — miała charakter ogólnopolski i po raz drugi zorganizowana została przez Dąbrowski Ośrodek Kultury — przy wydatnej pomocy Wojewódzkiego Domu Kultury oraz Zarządu Wojewódzkiego Ligi Ochrony Przyrody w Białymstoku i Komendy Hufca Związku Harcerstwa Polskiego w Dąbrowie Biał. Swoją „Cegielkę” dołożył również Zarząd Wojewódzki ZMW w Białymstoku.

Wydawałoby się — konkurs jakich wiele. Być może, a jednak...

„Scena Propozycji...” ma na celu nie tylko konfrontację różnorodnych form wypowiedzi artystycznych, rozwijanie uzdolnień twórczych i doskonalenie umiejętności uczestników amatorskiego ruchu artystycznego. Najważniejszym celem „Sceny” jest propagowanie wartości środowiska naturalnego, piękna ojczyzstego krajobrazu, związków człowieka z otaczającym go światem przyrody oraz troski o zachowanie tego świata. Podczas gdy w roku ubiegłym „Scena” nie nabrała jeszcze zbyt wielkiego rozmachu — w roku bieżącym mówić możemy o autentycznej potrzebie jej kontynuowania. Zawitali bowiem do małej — ledwo sześciotysięcznej, nie na każdej mapie zaznaczonej — Dąbrowy Białostockiej uczestnicy z Kalisza i Białegostoku, z Krakowa i woj. szczecińskiego z miast dużych i małych wiosek.

Zadomowili się we wspaniałym plenerze nadbiebrzańskim w Stancji Harcerskiej w Kamiennej Nowej. I nic to, że budowlani — jak zwykle — nawalili nie oddając na czas kuchni i stołówki — tak — że trzeba było uczestnikom skauting uprawiać.

Ściągnęło ich do Dąbrowy przecież coś zupełnie innego.

W pierwszym dniu przeglądu — który z założenia odbywać miał się w plenerze — królowa wieczoru Przyroda postanowiła sprawić uczestni-



kom i organizatorom psikusa i... popsikała deszczem na namioty w których zakwaterowani byli uczestnicy. Postanowiono więc przesłuchania konkursowe przenieść do namiotu telewizyjnego (no cóż, Mundial!), lecz łaskawy Zefir rozwiał chmury i po kolacji rozpalono ognisko przy którym zabzmieć miały strofy przyrodę opiewające.

Jak ognisko to i kielbaski na patyku i „grzaniec” piwno-goździkowy. i krąg który utworzyli wespół uczestnicy, jurorzy, sympatycy...

Pierwsi zaprezentowali się reprezentanci gminy Dąbrowa Białostocka — Teatr Małych Form z Zespołu Szkół Rolniczych w Różanymstoku, który zaprezentował próbę spektaklu pt. „Przebrała się miarka” M. Wasilewskiego. Zespół młody to jeszcze, ledwie kilka miesięcy istniejący i na karb niedoświadczenia oraz braku czucia sceny złożyć trzeba ewentualna wpadkę”. A przecież i tekst dobry, w temacie się mieszczący; — gdyby jeszcze miał „greckich masek” na twarzach — zespół pokazał nam trochę młodości, trochę przekory, pobawił się tekstem — pokazał satyryczne emploi — zabawa mogła być przednia...

...lecz oto pojawiają się w blasku pełgających płomyków ogniska reprezentanci klubu „Millenium” z Białegostoku na codzien pracujący z Panią Antoniną Sokołowską. Nastrój wśród widowni zmienia się diametralnie. Leśmian, Nowak, Herbert, Miłosz i in. okazują się być tuż obok nas, na wyciągnięcie ręki. I może to nie dym z ogniska wywołuje łzy w oczach, może to nie on dech w piersi zapiera...

A „Łąki” w interpretacji Katarzyny stają się bliskie, bliższe niż te nadbiebrzańskie...

Chwila przerwy dla złapania oddechu. Ktoś roznieca dogasające ognisko, ktoś milczy zadumany, ktoś w gitary struny uderzy...

I znowu wokół ogniska tworzymy jedną rodzinę. Słuchamy kilku recytatorów, lecz w uszach brzmia jeszcze piękne strofy z „Millenium” rodem. Nagle!... coś zupełnie odmiennego. Zespół który dojechał przez przypadek — Szkolny Teatr Wiejski z Brodu gmina Chociwel woj. szczecińskie. Repertuar jakże odmienny od dotychczasowych propozycji.

Lecz widać w tworzeniu przez młodych wykonawców kreacji aktorskich autentyczną radość przeżywania, zabawę wprost — jednak niuansów znaczeniowych pełną. Zabawę popartą trafnie użytym rekwizytem. Niewypowiedziana jest prostota tego spektaklu, rzecz by się chciało: — szkoda, żeście drodzy czytelnicy...

Dobiega końca pierwszy wieczór przesłuchań. Organizatorzy mają w programie „disco-music-plener-dance” — jednak nikt nie odchodzi od ciepła jakie daje ognisko, a może nie tylko ono.

Zaczyna się improwizowana zabawa, pojawiają się gitary, nawiązują się przyjaźnie. Atmosfery wieczoru przy Cohenie, Kaczmarskim, zabawnych skeczach i ciepłe ogniska — odtworzyć się nie da.

Świtać zaczyna kiedy zmęczeni podróżą, wrażeń wieczoru pełni zaczynamy rozchodzić się po namiotach. Lecz długo jeszcze słychać szepty przerywane szumem liści, pluskiem Biebrzy i ponownie kapiącego deszczu.

Wreszcie sen...

Organizatorzy świadomi tego, iż po pierwszym wieczorze zmęczenie nie pozwoli uczestnikom skoncentrować się na przygotowanych do prezentacji tekstach — zaplanowali coś odmiennego, a przecież posiadającego wspólny mianownik.

Po śniadaniu całą grupą udajemy się nad Biebrzę, gdzie przygotowują już swój sprzęt członkowie Klubu Fotografii Podwodnej „Zaba” z Białegostoku i sekcji płetwonurków Dąbrowskiego Ośrodka Kultury.

Pokazy ratownictwa wodnego, holowanie, wylawianie wrzucanych do rzeki przedmiotów i inne atrakcje wypełniają nam przedpołudnie. „Ludzie-żaby” zapraszają do wspólnej zabawy, znajduje się niestety tylko jeden śmiałek. Wodniacy buszując w okolicach mostu wylawiają rower. Próba techniczna pojazdu powoduje jednak jego „rozpad materialny”.

Wracamy do Stancji — na obiad coś regionalnego: gołąbki z baraniny po białostocku. Poobiednia sješta, którą jedni wykorzystują na wyprawę do lasu na poziomki, inni zwiedzają nadbiebrzańskie fortyfikacje, inni jeszcze zbierają kwiaty dla swoich wybraneń.

Wszyscy oczekujemy na kolejny wieczór. I znowu ognisko zapalone. Atmosfera jakże różna od wczorajszej, kiedy niektórzy czuli się jeszcze konkurentami. Zadzieggnięte przyjaźnie i wzajemne sympatie powodują rozbitcie grup z poszczególnych ośrodków na rzecz nieformalnych, sercem tworzonych związków.

Opisać prezentacji wszystkich nie sposób. Tego wieczoru zaistniało jednak coś, co nazwać można TEATREM.

„Wędrowanie” w/g Edwarda Stachury w układzie tekstu Marka Gałązki z muzyką M. Gąsiorowskiego to spektakl w pełni dojrzały, traktujący o kondycji człowieka, jego woli i rozterkach. Spektakl emanujący wiarą w człowieka, ale pokazujący i jego nicość wobec przemijania, gubiący się w swej niedosłowności, ale i dosłowny wobec Życia. Prawdziwy.

Teatr „Stygmaty” z Domu Kultury Kolejarza w Krakowie, który rzecz tę nam zaproponował był rewelacją wieczoru. A jednak przez atmosferę „Wędrowania” potrafili przebić się reprezentanci Garnizonowego Klubu Żołnierskiego z Ustki. „Pamiętniki Adama i Ewy” — M. Twajna, Tadeusz Różewicz, poezja śpiewana. Aż dziw bierze skąd w tych ludziach — pełniących na co dzień żołnierską służbę — tyle zapału, dowcipu, ale i artystycznej perfekcji.

Kończą się przesłuchania. Nikt z uczestników nie myśli nawet o włączeniu telewizora na Mundial. Od strzelającego gałązkami ogniska nikt nie ma zamiaru odchodzić. I znowu powtarza się wczorajszy wieczór — pełniejszy o nowe doznania, tętniący życiem, pulsujący myślą odświeżoną. Jurorzy zapomnieli, że są sędziami, wykonawcy zapominają o jurorach. Ognisko jednak dogasa. Kończy się wieczór drugi...



Rano. Dzisiaj staną naprzeciw siebie jurorzy i wykonawcy. Nie ma jednak przeciwników. Mimo ferowania wyroków, surowej analizy poszczególnych prezentacji — atmosfera pozostaje bliska, przyjazna. Oczywiście! — jurorzy to przecież tylko starsi koledzy!

Wyniki zostały ogłoszone. Jeszcze tylko obiad i udamy się do Dąbrowy Białostockiej na koncert laureatów, który ma odbyć się w Amfiteatrze.

Niestety koncert nie odbył się. Złośliwa Aura nie pozwoliła nam nawet rozstawić sprzętu. Lunał rześisty deszcz, który skutecznie przepłoszył zarówno widzów jak i wykonawców i organizatorów.

Wręczenie dyplomów i nagród następuje w Dąbrowskim Ośrodku Kultury. Uczestnicy nagrodzeni i nienagrodzeni zasiadają — w oczekiwaniu na pociąg do Białegostoku i dalej w Polskę — przy pianinach, gitary już wyjęte z futerałów — zaczyna się wspólne śpiewanie. Smutne, ale konieczne pożegnanie. Nagle okazuje się — dziewięciosobowa grupa z woj. szczecińskiego nie zdąży już do Białegostoku na jedyny pociąg do Szczecina.

Dwie sympatyczne panie, które opiekują się Teatrem są zrozpaczone. Postanawiamy więc wrócić na Stację do Kamiennej Nowej. Wieczór upływa w miłej atmosferze.

Ale to już zupełnie inna historia...

Do zobaczenia w roku przyszłym w dniach 4—7 czerwca!
Scena Propozycji Recytatorskich, Teatralnych i Literackich
„Człowiek i Przyroda” im. Zbigniewa Słaczki.
6—8 czerwca 1986

Jury w składzie:

dr Czesław Dziekanowski — teatrolog — przewodniczący
Barbara Chojnowska — instr. teatralny — członek
Wojciech Olejnik — instr. teatralny — członek

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA

kat. recytacji

- I nagroda — Katarzyna Sokół — Białystok
- II nagroda — Marek Walczak — Ustka
- III nagroda — Zbigniew Sałek — Ustka
- IV nagroda — Piotr Kadysz — Białystok

kat. Poezji śpiewanej

wyróżnienie — Jarosław Breski — Ustka

kat. teatrów

nagrada — Teatr „Stygmaty” — Kraków

wyróżnienie — Szkolny Teatr Wiejski — Bród woj. szczytyński

w kat. literackiej nagród nie przyznano.

Jerzy Krzysztof Kobus

SWIAT — CZŁOWIEK — PRAWO

Zdobywanie wykształcenia

Każdy człowiek w pewnym okresie swego życia marzy o dalekich podróżach, o przygodach, o nauce, o wyższych studiach, o wielkich i szlachetnych czynach.

Częstokroć jednak młodzieńcze marzenia z bardzo wielu różnorodnych przyczyn nie spełniają się szybko i nie realizują się do końca.

Dopiero w życiu dorosłym człowiek zauważa niekiedy braki w wykształceniu, w przygotowaniu do pracy zawodowej, w przygotowaniu do życia i wówczas pragnie je uzupełnić.

Wtedy to ludzie o zdecydowanej osobowości i wytkniętym celu działania mogą również osiągnąć bardzo wiele, a swoje szanse życiowe zrównać z innymi.

Obowiązujący aktualnie w tej mierze system prawny sprzyja takiej postawie.

Z dniem 1 stycznia 1983 r. weszła w życie Uchwała Nr 263 Rady Ministrów z 23 grudnia 1982 r. w sprawie podnoszenia kwalifikacji zawodowych pracowników społecznych zakładów pracy oraz świadczeń przysługujących tym pracownikom (Mon. Pol. Nr 1, poz. 6 z 1983 r.), która uregulowała w sposób kompleksowy prawa i obowiązki pracowników uczących się w różnego rodzaju szkołach, jak również podnoszących kwalifikacje w formach pozaszkolnych oraz uregulowała prawa i obowiązki zakładów pracy w stosunku do swoich pracowników.

Podnoszenie kwalifikacji zawodowych i zdobywanie wykształcenia może odbywać się systemem dziennym, wieczorowym, zaocznym, eksternistycznym lub też systemem łączącym elementy poszczególnych form dokształcania.

Pod określeniem podnoszenia kwalifikacji zawodowych rozumie się kształcenie się w szkołach dla pracujących (dorosłych) oraz szkolenie, dokształcanie lub doskonalenie kwalifikacji zawodowych w różnych formach pozaszkolnych jak studia podyplomowe, staże zawodowe, kursy i seminaria, samokształcenie kierowane, praktyki pracownicze, kursokonferencje, szkolenie przywarsztatowe, instruktaż.

Poszczególne rodzaje szkolenia i doskonalenia kwalifikacji zawodowych pracowników są realizowane bądź jako wewnętrzzakładowe, bądź też jako zlecone.

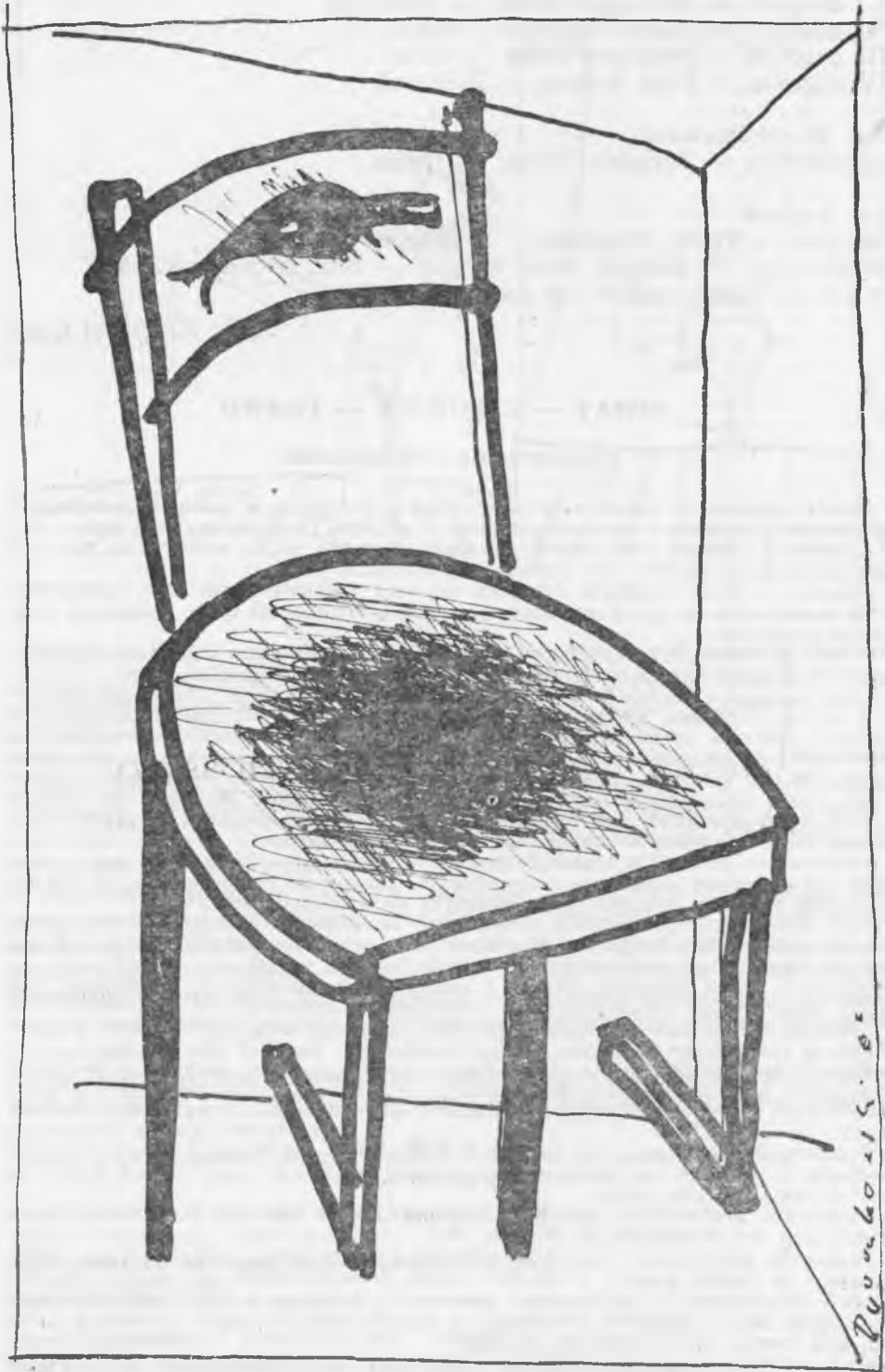
Pracownicy zatrudnieni na stanowiskach decydujących o postępie naukowo-technicznym, organizacyjnym i ekonomicznym oraz o bezpieczeństwie i higienie pracy zobowiązani są do cyklicznego, obowiązkowego podnoszenia kwalifikacji zawodowych.

Pracownicy społecznych zakładów pracy swoje kwalifikacje zawodowe mogą podnosić w szkołach na podstawie skierowania wydanego przez zakład pracy lub też bez takiego skierowania.

Pracownik podejmujący naukę bez skierowania nie korzysta z uprawnień przewidzianych w Uchwale Nr 263 R.M.

Pracownik podejmujący naukę na podstawie skierowania wydanego przez zatrudniający go zakład pracy i z którym została zawarta umowa o wzajemnych prawach i obowiązkach tj. pracownika i pracodawcy, korzysta w czasie nauki z szeregu uprawnień jak: z biblioteki zakładowej, z urlopów szkoleniowych i zwolnień z części dnia pracy, zwrotu kosztów przejazdów, zakwaterowania i wyżywienia na zasadach obowiązujących przy podróżach służbowych na obszarze kraju oraz z innych ewentualnie jeszcze dodatkowych świadczeń określonych w umowie.

Zakład pracy może uzależnić wydanie pracownikowi skierowania w celu kształcenia się od zobowiązania go do przepracowania w tym zakładzie określonego cza-



2006.15.02

su, nie dłuższego jednak niż 3 lata oraz do zwrotu części lub całości poniesionych kosztów obejmujących przyznane mu ulgi i świadczenia w przypadku wcześniejszego rozwiązania umowy o pracę za wypowiedzeniem, rozwiązania umowy o pracę bez wypowiedzenia z winy pracownika, wygaśnięcia umowy o pracę wskutek porzucenia pracy.

Jednym z istotnych uprawnień pracownika podejmującego naukę na podstawie skierowania jest korzystanie z urlopu szkoleniowego, którego wielkość uzależniona jest od rodzaju szkoły i roku nauki.

Urlop ten podczas nauki w szkołach podstawowych i równorzędnych wynosi 2 dni robocze w roku, w zasadniczych i średnich szkołach wieczorowych 6 dni, a w ostatnim roku dodatkowo 6 dni roboczych, w zasadniczych szkołach zawodowych oraz średnich zaocznych 12 dni roboczych w roku.

W szkołach wyższych natomiast na studiach wieczorowych wymiar urlopu wynosi 21 dni roboczych w roku, na studiach zaocznych 28 dni roboczych oraz dodatkowo na każdym rodzaju studiów po 21 dni roboczych w ostatnim roku nauki.

Wymiar urlopu dla pracowników przystępujących do końcowych egzaminów jako eksterniści z zakresu szkoły podstawowej wynosi 5 dni roboczych, z zakresu szkoły zawodowej 10 dni roboczych, z zakresu szkoły średniej 18 (12+6) dni roboczych, szkoły wyższej 42 (21+21) dni robocze.

Wymiar urlopu przewidzianego na udział w obowiązujących zajęciach w ciągu całego okresu nauki na studiach podyplomowych wynosi 28 dni roboczych.

Urlop szkoleniowy dla pracowników podnoszących swoje kwalifikacje zawodowe w formach pozaszkolnych wynosi 6 dni roboczych dla danego turnusu szkolenia, na kursach 2 dni robocze, na udział w konsultacjach 3 dni robocze.

Dla pracowników podnoszących kwalifikacje zawodowe bez skierowania zakład pracy może udzielić bezpłatnego urlopu szkoleniowego, zwolnienia z części dnia pracy jak również może pokryć w części koszty związane z podnoszeniem kwalifikacji.

Nie sposób rzecz jasna przedstawić całości ogromnego i jakże ważnego z punktu widzenia gospodarki narodowej oraz osób zainteresowanych problemu podnoszenia kwalifikacji zawodowych oraz wpływu tego zjawiska na lepszą pracę zawodową i spełnienie aspiracji życiowych poszczególnych osób.

Wydaje się, iż są to sprawy oczywiste i zabarwione ogromnym ładunkiem symptomatycznych emocji i spełnionych nadziei.

W każdym razie chciałbym tylko zasygnalizować istniejące możliwości i zasady. Bardziej zainteresowanych problematyką odsyłam w szczegółach do Uchwały Nr 263 Rady Ministrów.

Kazimierz Konopka

KORESPONDENCYJNY KLUB MŁODYCH PISARZY PRZY ZARZĄDZIE WOJEWÓDZKIM ZWIĄZKU SOCJALISTYCZNEJ MŁODZIEŻY POLSKIEJ W JELENIEJ GÓRZE

zaprasza do udziału w VI Konkursie Poetyckim im. C.K. Norwida

Uczestnicy Konkursu zobowiązani są do nadsyłania w terminie do dnia 5.09 86 r. zestawu pięciu wierszy niepublikowanych w wydawnictwach zwartych i nie nagrodzonych na innych konkursach. Pięć egzemplarzy prac opatrzonych godłem należy przesłać na adres:

ZW ZSMP Jelenia Góra, ul. 15-go Grudnia 36, Wydział Kultury
z dopiskiem „Konkurs Poetycki”.

Nazwisko i adres prosimy umieścić w osobnej kopercie również opatrzonej godłem. Organizatorzy przewidują następujące nagrody:

I — 10.000 — zł

II — 8.000 — zł

III — 5.000 — zł

Nagroda specjalna w wys. 6.000 — zł zostanie przekazana za najlepszy utwór o tematyce jeleniogórskiej.

Trzy równorzędne wyróżnienia po 3.000 — zł będą przekazane za pojedyncze teksty. Komisja Konkursowa może dokonać innego podziału nagród i wyróżnień w zależności od poziomu artystycznego prac.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w ramach „Września Jeleniogórskiego”, w którym to czasie zostanie zorganizowane „Seminarium Literackie pod Snieżką”. O dokładnym terminie laureaci zostaną poinformowani listownie.



Dona Walsh '86

